ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO KULTURALNY

ROK III Nr 47/126 Londyn, dnia 20 listopada 1949 CENA 1 sh.

ZWRACAMY uwagę Czytelników na artykuł znanego ekonomisty Janusza Rakowskiego p.t. „Chrześcijaństwo — komunizm — kapitalizm", który ze stanowiska ekonomii oświetla dyskusję ŻYCIA na ten temat pomiędzy Wojciechem Wasiutyńskim a Janem Tokarskim (nr. 39/118). W następnym numerze zamieścimy część drugą artykułu dr. Rakowskiego.—W cyklu artykułów o sprawach społeczno-gospodarczych w jednym z najbliższych numerów ŻYCIA Zygmunt Krzysztoporski omówi głośną książkę głównego przedstawiciela t.zw. neoliberalizmu ekonomicznego prof. W. Röpke p.t. „Civitas Humana".

Józef Jasnowski recenzuje w tym numerze rewelacyjne dzieło znakomitego uczonego czeskiego, bizantynisty X. Prof. F. Dvornika, wydane przez Polish Research Centre.

JANUSZ RAKOWSKI

CHRZEŚCIJAŃSTWO — KOMUNIZM — KAPITALIZM

I. ISTOTA SPORU DOKTRYNALNEGO

W NUMERZE 39/118 ŻYCIA z dnia 25 września r.b. ukazała się interesująca polemika, której treścią jest pytanie, czy komunizm, czy też kapitalizm stoją w większej sprzeczności z chrześcijaństwem. Na to pytanie p. Wojciech Wasiutyński odpowiada: „Komunizm, nawet jeśli pominie się jego filozofię, jest jeszcze w większej mierze zaprzeczeniem chrześcijaństwa, stoi w jeszcze większej sprzeczności z samą zasadą chrześcijaństwa jak kapitalizm zachodni".

Wniosek swój p. Wasiutyński wyprowadza z przesłanek, które można by ująć zwięźle w formie następującego sylogizmu myślowego:

Pierwsza przesłanka: Encyklika „Rerum Novarum" jak również encyklika „Quadragesimo Anno" uznają prywatną własność jako naturalne prawo człowieka, ustanowione przez Opatrzność Bożą dla ułatwienia ludzkiego życia.

Druga przesłanka: Komunizm, jako system ekonomiczny w znaczeniu ścisłym wyznaje zasadę wspólnego posiadania zarówno dóbr produkcyjnych jak i konsumcyjnych, zaś „komunizm w znaczeniu popularnym" — jak to nazywa p. Wasiutyński — aczkolwiek dopuszcza w pewnym zakresie prywatną własność dóbr konsumcyjnych, jest jednak ustrojem dyktatorskim, w którym człowiek jest całkowicie zależny od władzy (a zatem — dopowiedzmy — możliwość swobodnego dysponowania nawet dobrami kosumcyjnymi jest w tym ustroju często iluzoryczna).

Trzecia przesłanka: Kapitalizm (który autor nazywa „zachodnim"), również traktowany jako „system gospodarczy", wyznaje hasło prywatnego w zasadzie władania narzędziami produkcji i dobrami konsumcyjnymi oraz wolną konkurencję gospodarczą.

Wniosek z tego rozumowania, jak wyżej.

Odmiennego zdania jest p. Jan Tokarski, który twierdzi — zgodnie z niedawnym artykułem L'Osservatore Romano — że „komunizm, jako system ekonomiczny — jeśli się pominie wszelką jego filozofię — nie jest w takiej mierze antytezą chrześcijaństwa, nie sprzeciwia mu się tak, nie jest tak sprzeczny z jego istotą, jak kapitalizm". Postępując tą samą drogą, jak przy przedstawieniu poglądu p. Wasiutyńskiego, możemy rozumowanie p. Tokarskiego zamknąć w sylogizm następujący:

Pierwsza przesłanka: Kościół Katolicki uznawał wprawdzie zawsze własność prywatną, podkreślał jednak stale indywidualny i społeczny charakter tej własności, jak również zawsze potępiał kapitalizm, roszczący sobie nieograniczone prawo nad własnością prywatną (Pius XII).

Druga przesłanka: Kapitalizm współczesny, opierający się na zasadzie wolnej konkurencji i nieograniczonego prawa własności prywatnej, prowadzi do niewoli społecznej i gospodarczej i nieszczęść, które ostatnio przeżyliśmy i przeżywamy.

Trzecia przesłanka: Komunizm skopiował w swym systemie ekonomicznym (mowa o zasadzie) katolicki slogan o społecznym charakterze własności, jak również przejął chrześcijańskie słowa o sprawiedliwości i równości; „Komunizm jest bowiem jakby wielką społeczną sektą chrześcijańską, gdy kapitalizm jest wdarciem się pogaństwa w dziedziny chrześcijańskie".

Wniosek, jak wyżej, że „komunizm w swej zasadzie nie jest tak sprzeczny z chrześcijaństwem jak kapitalizm".

Zastrzeżenia ekonomisty

Autor niniejszego artykułu nie czuje się ani zbyt mocnym ani też powołanym do roli arbitra w przedstawionym powyżej sporze ideologicznym. Jeżeli jednak decyduje się na zabranie głosu to tylko dlatego, że — jako ekonomista — coś niecoś orientuje się w systemach ekonomicznych, a sprawie ich klasyfikacji poświęcił przed paru laty specjalne studium.

Obaj znakomici publicyści darują mi, że moje „ekonomiczne trzy grosze" rozpocznę od zastrzeżenia dość zasadniczej natury. Jest rzeczą powszechnie znaną, w nauce i w życiu, że porównywać — dla stwierdzenia różnic i podobieństw — można między sobą tylko przedmioty jednorodzajowe. Ilości nie można porównywać np. z wartościami i „pierników z wiatrakami". Podobnie jest również w sferze idej czy systemów. Piszącego te słowa uderzyło, że w cytowanym sporze „komunizm" i „kapitalizm" traktowane są jako systemy gospodarcze i jako takie porównywane... z chrystianizmem. Pan Wojciech Wasiutyński wyraźnie i dwukrotnie mówi o „pominięciu filozofii" obu tych pojęć i ograniczeniu się do ich rozpatrywania jako „systemów ekonomicznych". Pan Jan Tokarski mówi o komunizmie i kapitaliźmie w ich „zasadzie", co już uznać można za lepszą formułę, jednakże w toku swych wywodów przyjmuje również narzuconą przez p. Wasiutyńskiego metodę porównywania.

Tu właśnie wydaje się leżeć zasadniczy powód wielkiego i interesującego nieporozumienia. Czyż można bowiem z „kapitalizmu" i „komunizmu", które są nie tylko „systemami ekonomicznymi", ale również pojęciami wielkich obszarów światopoglądowych, wielkich nauk (doktryn) społecznych i filozoficznych, wyjąć jeden — choćby nawet duży i istotny — wycinek i porównywać go z chrześcijaństwem czy katolicyzmem jako takim, pojęciami obejmującymi właśnie dziedzinę ogólno-światopoglądową? Czyż mówił kto kiedykolwiek i czy można mówić o jakimś „systemie ekonomicznym" chrześcijaństwa i wprowadzić aktualne czy historiozoficzne porównania tego systemu z systemem ekonomicznym komunizmu czy kapitalizmu? Napewno nie! Można porównywać albo światopoglądy w ich całokształcie, albo ich poszczególne składniki, ogniwa, myśli, nauki szczegółowe czy częściowe. Ale wtedy odpowiednikiem dla porównań z „systemem ekonomicznym" komunizmu i kapitalizmu będzie nie chrześcijaństwo czy katolicyzm, lecz nauka społeczna Kościoła katolickiego, a to jest już coś innego niż chrześcijaństwo i katolicyzm w ich całokształcie.

W dalszym ciągu tego artykułu, jeśli tylko Czytelnik użyczy mi cierpliwości, postaram się wyjaśnić pojęcie systemu gospodarczego a następnie naukę ekonomiczną katolicyzmu społecznego, tak, jak tę naukę rozumiem, aby w tej drodze dać odpowiedź na zagadnienie postawione w Nr. 39(118) ŻYCIA i zapoczątkowane wypowiedzią p. Wasiutyńskiego i Tokarskiego. Kwestia jest istotnie ważna. Nie będzie jednak z mej strony rozpatrzona ani metodą „nieudolnie naśladowaną ze św. Tomasza", ani też nie będzie w niej „cytatów ze św. Tomasza", gdyż nie przyswoiłem sobie jeszcze w pełni drukowanego na tych łamach „ABC tomizmu" znakomitego pióra innego „Szwajcara", Ojca I.M.Bocheńskiego.

Będzie to laicki wywód ekonomisty, który wniesie może nieco systematyki, ułatwiającej dalszą dyskusję.

II. NIECO, BYĆ MOŻE, POUCZAJĄCEJ TEORII

Motywy działalności gospodarczej.

W dążeniu do zaspakajania swych potrzeb ludzie mogą się kierować (i kierują w praktyce) dwoma motywami: egoistycznym lub altruistycznym.

Motyw egoistyczny wysuwa jednostkę i jej wolność osobistą i gospodarczą na plan pierwszy. Człowiekowi pozostawiona jest swoboda sposobu gospodarczego działania i wyboru dróg, przy których pomocy chce on zaspokoić swoje potrzeby. Kto kieruje się motywem egoistycznym, myśli przede wszystkim o sobie i o swojej rodzinie. Korzyść osobista jest tu motorem działania, a o sposobie i zakresie zaspakajania potrzeb oraz o pozycji społecznej jed-

Dokończenie na str. 2.

JÓZEF JASNOWSKI

NARODZINY PAŃSTW EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ

NA przestrzeni ostatnich kilku lat jesteśmy świadkami specjalnego zainteresowania się okresem panowania Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Ujawnia się ono zarówno w studiach historycznych jak i w literaturze pięknej. W tej ostatniej mamy do zanotowania powieści aż czterech autorów: T. Parnickiego („Srebrne Orły"), A. Gołubiewa („Bolesław Chrobry") i K. Bunsch'a („Ojciec i Syn") oraz W. Grabskiego („Saga o Jarlu Broniszu"), napisane z dużym talentem i nakładem pracy podjętej dla wystudiowania dziejów epoki i jej tła.

Trudno dać stanowczą odpowiedź co się na to zainteresowanie pisarzy złożyło. Może atmosfera naszych czasów, która zmusza do ucieknania od niej aż o tysiąc lat wstecz, może wielkość ludzi i wydarzeń tamtej epoki a może wreszcie świadomość, że zmiany które dokonały się na naszych oczach są — co do skali swej wielkości — analogiczne do okresu pierwszych Piastów. W każdym razie fakt zainteresowania się ową epoką jest niewątpliwy i bardzo charakterystyczny.

W historiografii polskiej istnieje szereg studiów i monografii, zarówno nowszych jak i dawnych, poświęconych początkowym dziejom państwa polskiego. Żaden z naszych historyków nie pokusił się jednak o napisanie historii Polski łącznie z historią krajów ościennych jako pewnej etnicznej całości, ze szczególnym wyodrębnieniem tych faktów i wydarzeń, które je łączyły i zbliżały do siebie. Uczynił to ostatnio historyk czeski przebywający na emigracji, ks. prof. Franciszek Dvornik w obszernej pracy opublikowanej po angielsku pt. "The Making of Central and Eastern Europe".*)

Dzieło prof. Dvornika jest pierwszą próbą ujęcia dziejów państw i narodów Europy środkowo-wschodniej w jedną, organiczną całość, w okresie od IX do XI stulecia. Obejmuje ona zagadnienia polityczne i kościelne (częściowo także kulturalne) i kładzie specjalny nacisk nie na nowe fakty, ale na powiązanie faktów dawniej już znanych.

Obszar środkowo-europejski stanowił u kołyski swych dziejów jedną całość etniczną, kulturalną i językową. Brakowało mu jedynie jedności politycznej. Otóż jednym z najważniejszych zadań, jakie postawił sobie prof. Dvornik, było wykazanie, że idea tej jedności nie była na tym obszarze obca i że próby jej realizacji pojawiały się niejednokrotnie.

Pierwszą z nich było Imperium Wielko-Morawskie z końca IX stulecia. Obejmowało następujący obszar: na północy górne dorzecze Łaby, Odry i Wisły, na południu sięgało aż po Drawę, na wschód po Bug a na zachód po Sałę. Autor przedstawia szczegółowo dzieje powstania i rozwoju tego Imperium, którego upadek spowodowało pojawienie się Madziarów nad Dunajem. Spadkobiercą znacznej części terytorium oraz idei państwa Wielko-Morawskiego było królestwo polskie Bolesława Chrobrego, który zamierzał zjednoczyć obszar środkowo-europejski w oparciu o Polskę i Czechy, z zasięgiem na Słowian nadbałtyckich i Ruś Kijowską. Wina nie dojścia do skutku jego planów spada na Przemyślidów, którzy ze względów czysto dynastycznych woleli szukać oparcia u Niemców niż podporządkować się zamierzeniom Chrobrego, których wielkości nie doceniali i nie rozumieli.

Bez udziału Czech plan środkowoeuropejski nie dał się utrzymać. Autor podkreśla to kilkakrotnie wskazując równocześnie na fakt, że różnice językowe pomiędzy Polakami i Czechami były wówczas nieznaczne i że narody te, w ramach wspólnego państwa, wytworzyłyby z biegiem czasu jeden naród który by miał dość siły politycznej, by przyciągnąć do siebie i wchłonąć sąsiednie szczepy słowiańskie.

Dzieje Wielkich Moraw oraz królestwa Bolesława Chrobrego zazębiają się szeregiem wydarzeń o współczesne wypadki polityczne, zachodzące na Bałkanach, w Bizancjum i w Europie Zachodniej.

Jak wspomnieliśmy, kres istnieniu Wielkich Moraw położyło pojawienie się Madziarów nad Dunajem. Fakt ten miał i inne jeszcze, równie niepożądane następstwa. Po pierwsze — Madziarowie rozdzielili Słowian północnych od południowych i zniszczyli świetnie rozwijającą się cywilizację Słowian panońskich. Po drugie — odcięli drogi łączące Słowian północnych z Bizancjum, zdając ich na pośrednictwo niemieckie w dostępie do znacznie wówczas uboższego ośrodka kultury chrześcijańskiej — Rzymu.

Prawda że Madziarowie ucywilizowali się szybko, przyjmując kulturę od Słowian południowych a chrześcijaństwo z Polski — tym niemniej jednak ich usadowienie się w sercu Słowiańszczyzny zaciążyło fatalnie na ich dziejach.

Bardzo ujemna w skutkach była, dla losów Europy środkowo-wschodniej — niemożność nawrócenia Słowian połabskich i pomorskich na chrześcijaństwo przed podbojem ich przez Niemców. Próby, podejmowane usilnie przez pierwszych Piastów, nie powiodły się z dwóch zasadniczych przyczyn. Po pierwsze — Słowianie ci nie tworzyli jednolitego państwa, a tym samym Polska nie miała możności wprowadzenia tam chrześcijaństwa poprzez głowę księcia (jak to miało miejsce z nią samą, z Czechami, Węgrami i Rusią Kijowską). Pozostawał podbój, ale na próby tego Słowianie ci odpowiadali zawsze sojuszem z Niemcami. Wtłoczeni pomiędzy dwie wrogie sobie potęgi: Polskę i Cesarstwo, sądzili, że uda im się zachować i wiarę pogańską i niepodległość szczepową — a w rzeczywistości nie zachowali niczego i ulegli ostatecznie podbojowi niemie-

Dokończenie na str. 2.

*) Francis Dvornik. „The Making of Central and Eastern Europe". London 1949. Polish Research Centre, str. 4 plus 350. Cena 25 sh.

nostki rozstrzyga współzawodnictwo. Z góry zakłada się i uznaje za rzecz naturalną istnienie nierówności społecznej między ludźmi.

Nie znaczy to oczywiście, aby w społeczeństwie, w którym zaspakajanie potrzeb kierowane jest motywem egoistycznym, miało panować „prawo dżungli“. Podobnie jak przy realizacji swej wolności człowiek ograniczony jest wolnością innych ludzi, tak też jest on również ograniczony w swym egoiźmie. Egoizm i wolność stoją blizko siebie i wchodzą w zakres etyki społecznej. Egoizm jednego jest ograniczony przez egoizm innych. Aby osiągnąć swój cel jednostka musi postępować rozsądnie. Postępować rozsądnie — to znaczy mniej ważne podporządkować ważniejszemu. Wyrzeka się spożycia wódki, aby uniknąć skutku działania alkoholu. Przyjmuje się na siebie przykrość pracy, aby nie umrzeć z głodu (L. Mises). Ponoszenie tych ofiar w interesie otrzymania lub utrzymania głównych środków zaspakajania ludzkich potrzeb, a zatem i ludzkiego życia wogóle, wytwarza system działania społecznego, który nazywa się etyką utylitarną. Tę etykę wyznaje indywidualizm, nazywany również kapitalizmem.

Motyw altruistyczny wysuwa na plan pierwszy w działalności ludzkiej nie jednostkę lecz społeczeństwo—interes zbiorowy. Kierujący się tym motywem poświęca swoje „ja“ na rzecz innych członków społeczeństwa. Szuka on nie korzyści osobistej, lecz współdziałania z innymi dla osiągnięcia celów dobra zbiorowego. Dąży on do zniwelowania różnic społecznych i godzi się na ograniczenie swej wolności indywidualnej w wyborze i zaspakajaniu potrzeb.

Działania kierowane motywem altruistycznym nastawione są z reguły na osiągnięcie pewnego idealnego celu. Konstruuje się obraz nowej społeczności, ideał moralny, mit. Chce się stworzyć świat, który odpowiada wyobrażeniu działającego. Motywem altruistycznym kierują się wszystkie światopoglądy, które możnaby nazwać ogólnie solidarystycznymi, wśród których historycznie najstarszym jest niewątpliwie chrześcijaństwo, solidaryzm chrześcijański z ideałem sprawiedliwości społecznej i „Królestwa Bożego na ziemi“.

Zasady organizacyjno-gospodarcze.

Motywom działania egoistycznemu (indywidualistycznemu) i altruistycznemu (kolektywnemu) odpowiadają dwie krańcowo rozbieżne zasady organizacyjno-gospodarcze: zasada umowy i zasada autorytetu.

Zasada umowy oznacza, że ludzie wstępują we wzajemne stosunki jako równouprawnione osoby. Tę zasadę zazwyczaj wyznają wszyscy indywidualiści, ceniący swobodę swego działania. Każdy chce zachować swoje „ja“, a tylko ze względu na „ja“ działających obok ludzi, pragnących również zachować swoją osobowość, godzi się na wejście z nimi w porozumienie dla wspólnego ułożenia życia i najlepszego zabezpieczenia własnej indywidualności.

Ludzie, kierujący się motywem altruistycznym, wysuwający interes zbiorowości ponad swoje „ja“, chętniej podporządkowują się jakiemuś autorytetowi, który kieruje ich życiem, reguluje ich życie i postępowanie. Źródła autorytetu są różne: może to być religia, a więc uznanie nadprzyrodzonego autorytetu moralnego i jego wskazań, zwyczaj zakorzeniony w mniejszych wspólnotach, przymus, a więc podporządkowanie się silniejszemu, który chwyta władzę i reguluje działania ludzi według swych pojęć dobra zbiorowego, co widzimy właśnie w socjaliźmie wschodnio-europejskim, czyli komuniźmie.

Systemy gospodarcze

Organizacja gospodarcza wówczas istnieje, gdy ludzie wiążą się trwałymi stosunkami, uregulowanymi na podstawie zasad ekonomicznych, tworzących w ich całokształcie pewien system. Ze skrzyżowania się egoistycznego motywu działania z zasadą organizacyjną umowy, oraz altruistycznego motywu z zasadą autorytetu — powstają 2 krańcowe, idealne — jeśli tak można powiedzieć — systemy gospodarcze, które nazywamy, w ich najszerszych i moim zdaniem najtrafniejszych określeniach indywidualizmem i kolektywizmem.

Tam gdzie ludzie łączą się wolną umową, a więc na podstawie wyrażenia własnej woli, tam rozstrzyga również własny interes, korzyść, która wynika dla każdego z umowy. Zasadę organizacyjną stosunków ludzkich opartych na podstawie wolnej umowy przy zachowaniu własnej osobowości uczestników tej umowy nazywa się stąd również zasadą prywatno-gospodarczą, bądź gospodarczo-wymienną; obrotem gospodarczym, wymianą towarów, kierują przede wszystkim stosunki prywatnych gospodarstw między sobą i im też przede wszystkim zasada ta zabezpiecza korzyści. Ponieważ jednostki muszą się w tym systemie wolno poruszać — nazywa się go, jak również opartą na tym systemie organizację społeczną, indywidualizmem. Cechami charakterystycznymi tej organizacji są te, które wogóle umożliwiają wolny obrót i wymianę, a więc: podział pracy dokonywujący się swobodnie, prywatna własność, wolność osobista i gospodarcza, a zatem wolność absolutna osiedlania się, wolność wyboru zawodu, wolność produkcji, wolność zbytu, wolność cen i wolność zawierania umów. Ponieważ w systemie tym i w tej organizacji życie gospodarcze i jego procesy nie są poddane jednolitemu kierownictwu — mówimy często o systemie zdecentralizowanym, w którym sam rynek decyduje o produkcji i rozdziale dóbr.

Całkowicie inny obraz ukazują nam stosunki oparte na zasadzie autorytetu. Zakładają one z góry wspólnotę ludzką, wewnątrz której jednostka jest tylko cząstką całości; cele wspólnoty, jak zaznaczyliśmy, są rozstrzygającymi dla postępowania jednostek. Dlatego też tę zasadę organizacyjną nazywa się również zasadą kolektywną, a oparty na niej system gospodarczy systemem kolektywnym albo socjalistycznym.

Socjalizm — jako konstrukcja teoretyczna — jest organizacją wspólnoty, zbudowanej na idei równości wszystkich ludzi, przy całkowitym usunięciu prywatnych gospodarstw a przez to i systemu wolnej wymiany. To ogólne określenie socjalizmu, pokrywające jego liczne odcienie, dzisiaj należy już do historii. Dzisiaj, jest to raczej definicja komunizmu, którą nazywamy socjalizmem wschodnio-europejskim. Socjalizmem w znaczeniu zachodnio-europejskim nazywamy obecnie organizację wspólnoty, w której jedynie środki produkcji należą do zbiorowości (w teoretycznym komuniźmie również własność środków konsumcyjnych miała być zniesiona).

Słowo „kapitalizm“ zdaniem wielu nadaje się lepiej jako przeciwstawienie pojęciu „socjalizmu“, niż używane najczęściej w nauce wyrażenie „indywidualizm“, jest też ono, od encykliki „Rerum novarum“ Leona XIII z 15. 5. 1891 r.,w powszechnym użyciu w nauce społecznej katolickiej. Zresztą również indywidualiści często używają tego wyrażenia. Gdy używa się wyrażeń „indywidualizm“ i „socjalizm“ dla odróżnienia obu systemów krańcowych, wychodzi się z milczącego założenia, jakoby między interesami jednostek i interesami porządku społecznego (organizacji społeczno-gospodarczej) istniała przeciwstawność i tylko socjalizm miał być porządkiem, który stawia sobie za cel dobro zbiorowe a indywidualizm służy wyłącznie interesom jednostek.

W tej uwadze leży pewna doza słuszności. Indywidualizm (kapitalizm) i socjalizm (kolektywizm) różnią się jako systemy gospodarcze nie ze względu na cele, jakie chcą osiągnąć, lecz z uwagi na środki, jakie stosują dla osiągnięcia celu; są to dwie różne drogi organizacji gospodarki narodowej w dążeniu do najpełniejszego zaspakajania potrzeb ludzkich. Moim zdaniem, dla rozróżnienia obu krańcowych systemów najwłaściwszymi są pojęcia „indywidualizmu“ i „kolektywizmu“, jako pojęcia najstarsze; zachodzące między tymi systemami podstawowe różnice, które powyżej omówiliśmy, są bardzo ważne dla odpowiedzi na pytanie, czy kapitalizm, należący do systemu indywidualizmu, czy komunizm, związany z systemem gospodarczym socjalizmu, są „bliższe chrześcijaństwu“.

Formy gospodarcze.

Zanim jednak przystąpimy do odpowiedzi na to pytanie, musimy zanotować jeszcze jedną ważną uwagę teoretyczną.

Obydwa wyżej scharakteryzowane systemy są oczywiście, jak zaznaczyliśmy, konstrukcjami „idealnymi“, czysto teoretycznej natury. Konkretne, istniejące w życiu organizacje gospodarcze zawierają zazwyczaj elementy obu tych systemów. Dlatego też dobrze byłoby, aby te konkretnie występujące organizacje nazywać formami gospodarczymi.

Wszystkie formy, jakie widzieliśmy w historii lub widzimy obecnie, należą do jednego z dwóch podstawowych systemów: indywidualistycznego (prywatno-gospodarczego, kapitalistycznego, decentralistycznego) lub kolektywnego (socjalistycznego, solidarystycznego, centralistycznego), w zależności od tego, jakie elementy scharakteryzowanych systemów będą w nich występować w czystej lub bardziej skażonej postaci. W ten sposób będziemy mieli całą gamę form konkretnych od tych, w których zasady indywidualizmu występują w sposób najczystszy, do tych, w których najpełniej występuje kolektywizm.

W praktyce, zaliczenie jakiejś formy gospodarczej do jednego lub drugiego systemu może być bardzo trudne, a to ze względu na podkreślone powikłania motywów działania i zasad organizacyjnych. Przy zaszeregowaniu decydować muszą nie tylko cechy zewnętrzno-organizacyjne, ale przede wszystkim duch — idea, ożywiająca daną formę (Sombart).

Podstawowym kryterium rozróżnienia form gospodarczych, należących zasadniczo do systemu indywidualistycznego będzie charakter i zakres interwencjonizmu państwowego w wolną gospodarkę wymienną. W systemie socjalistycznym poszczególne formy różnić się będą charakterem związania gospodarki i stosunkiem do zagadnienia własności i wolności. Stosując te kryteria, w systemie ekonomicznym indywidualizmu moglibyśmy wyłuskać szereg form gospodarstw europejskich i amerykańskich, które — poprzez leżący na granicy obu systemów przedwojenny korporacjonizm włoski i niemiecki narodowy socjalizm, dziś reprezentowane przez takie kraje jak Hiszpania, częściowo Portugalia, Argentyna— iść będą do najbardzie czystej formy gospodarki kolektywnej, do rosyjskiego komunizmu, nazywanego na wschodzie Europy „Leninizmem-Stalinizmem“.

Wszystkie formy gospodarcze nie są organizacjami stałymi ale zmieniają się (i to nieraz w dość krótkich okresach czasu) pod wpływem działających w nich żywych elementów idei i polityki gospodarczej. Stąd też, w pewnym określonym punkcie czasu, niektóre formy uznać można za organizacje gospodarcze o charakterze przejściowym. Za taką przejściową formę uważam np. dzisiejsze gospodarstwo Wielkiej Brytanii, które — przy utrzymaniu się nadal u władzy Labour Party— łatwo przekroczyć może w niedługim czasie punkt dzielący system indywidualistyczny, do którego jeszcze, moim zdaniem, należy, od systemu kolektywnego.

W zasadzie, każdy regulowany państwowo obrót gospodarczy jest niczem innym jak gwałtownym lub ewolucyjnym przejściem do porządku kolektywnego, opartego na tych wszystkich czynnikach, które ograniczają prywatno-gospodarczą zasadę wymiany. Taką jest ewolucja ostatnich dziesięcioleci.

Janusz Rakowski

NARODZINY PAŃSTW EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ

Dokończenie ze str. 1-szej

ckiemu. Usadowienie się Niemców u ujścia Łaby i Odry uniemożliwiło w wiekach późniejszych podjęcie koncepcji jedności Europy Środkowo-Wschodniej, gdyż Czechy, znalazły się na zbyt długiej granicy z Niemcami i nie mogły się wogóle wyemancypować spod ich wpływów.

Rozpad państwa Karola Wielkiego, który zbiegł się z okresem tworzenia się organizmów politycznych w Europie Środkowo-Wschodniej, nie był również bez wpływu na jej losy. Gdyby Imperium to udało się utrzymać lub później odnowić, na zasadach z przed 843, ludy germańskie znalazłyby się w nim w znacznej mniejszości. Ponadto, jako bardziej pierwotne, napiętnowane w oczach świata łacińskiego zasłużoną opinią barbarzyńców, nie odgrywałyby tej roli w Imperium, jaką później miały w Europie. Gdyby w dodatku weszły do tego związku kraje słowiańskie — ich obszar, liczebność i położenie na krańcach świata cywilizowanego jeszcze bardziej zmniejszyłyby znaczenie Germanów.

Myśl odnowienia Imperium Rzymskiego, rozpadłego po r. 843, podjęta została u samego schyłku pierwszego millenium, teraz już na podstawach znacznie szerszych, gdyż granice świata chrześcijańskiego poszerzyły się ogromnie. Realizatorem tej myśli był Ces. Otto II (983-1002).

Omawiając obszernie jego działalmość, związaną z „renovatio imperii“ autor wykazuje jej kulisy oraz właściwych jej twórców i inicjatorów. Dużą rolę odegrała tu matka ces. Ottona III, cesarzowa Teofano, księżniczka bizantyjska a jeszcze większą, po jej zgonie, jego wychowawca i przyjaciel Gerbert z Aurillac, późniejszy papież Sylwester II (999-1003).

Gerbert posłał bardzo gruntowne wykształcenie klasyczne (był znawcą i miłośnikiem Cicerona). Ze studiów nad dziejami Rzymu oraz z tradycji monarchii Karolingów wyniósł on ideę imperium rzymskiego z zasięgiem na cały świat chrześcijański. W jego obrębie miały się teraz znaleźć nie tylko dawne kraje monarchii Karola Wielkiego, ale i Polska, Czechy, Węgry oraz kraje półwyspu bałkańskiego. Nie dziw więc, że cesarz Otto III, wychowany w duchu ideologii Gerberta podjął — ostatni w dziejach — plan odnowienia dawnego imperium rzymskiego.

Niezwykle ważnym elementem tego planu miała być Polska, państwo młode jeszcze, ale niezwykle dynamiczne, wykazujące nieugiętą wolę pełnej samodzielności politycznej i umiejące jej bronić. Ponadto ówczesny jego władca, Bolesław Chrobry dał niejednokrotnie dowód swej gorliwości dla chrześcijaństwa, co zjednało mu wielkie uznanie w Rzymie. To też dla pozyskania go dla swego planu, udał się cesarz Otto III osobiście do Polski (w roku 1000), pragnąc równocześnie oddać hołd ciału pierwszego jej męczennika, biskupa Wojciecha. Nie znamy niestety bliższych szczegółów i przebiegu tej wizyty. Jedynym, jakże wymownym równocześnie, śladem tego, o czym była mowa między ces. Ottonem a Bolesławem było nadanie temu ostatniemu godności patrycjusza rzymskiego cesarstwa oraz pewnych przywilejów na rzecz niezależności polskich diecezji od magdeburskiej metropolii,

Niestety ze zgonem Ottona III jego wielki plan poszedł w zapomnienie, a Niemcy wkroczyły na stałe na krętą ścieżkę nacjonalizmu.

Sporo miejsca poświęca prof. Dvornik sprawom związanym z chrystianizacją obszaru środkowo-europejskiego. Miała ona niezwykle łagodny przebieg, coby świadczyło albo o słabym przywiązaniu do pogaństwa albo też o uprzednim oswojeniu się z chrześcijaństwem, na wiele lat przed jego oficjalnym przyjęciem. Jeśli się porówna, z jakimi trudnościami walczył kościół w Niemczech czy w Anglii w okresie misyjnym z triumfalnym jego pochodem poprzez kraje słowiańskie — nabiera się mimowolnego przeświadczenia o wyższości cywilizacji ówczesnych słowian w porównaniu z Teutonami.

Chrześcijaństwo szło do narodów słowiańskich z dwóch źródeł: z Rzymu i z Bizancjum. Najwcześniej pojawiło się chrześcijaństwo u słowian bałkańskich, w formie odmiennego obrządku wypracowanego specjalnie dla nich przez św. Cyryla i Metodego. Językiem tego obrządku był ich język narodowy. Akcja misyjna Cyryla i Metodego uzyskała aprobatę papieży: Hadriana II i Jana VIII i wydała bardzo bujne owoce. Chrześcijaństwo w tym obrządku szerzyło się na całym prawie obszarze imperium Wielkich Moraw i dopiero po ich katastrofie zostało zastąpione obrządkiem łacińskim.

Dla ksiąg liturgicznych tego obrządku został wypracowany specjalny alfabet (głagolica) oraz dokonany przekład Pisma św. Gdyby okoliczności pozwoliły temu obrządkowi rozwinąć się należycie na całą słowiańszczyznę — stałby się on poważnym czynnikiem jej zjednoczenia i oddziałałby w sposób daleko skuteczniejszy na rozwój nowej kultury, opartej o pierwiastki rodzime i chrześcijaństwo, niż łacina. Wielkie plany zjednoczeniowe władców Wielkich Moraw i Polski rozbiły się i Europa środkowo-wschodnia ukształtowała się w takiej formie, jak ją widzimy dziś: rozbita na kilka odrębnych państw i narodów, niezdolnych do samodzielnej obrony swej niezawisłości i do zdobycia się na wspólną koncepcję federacyjną czy unijną.

Nic więc dziwnego że w czasach, gdy losy jej toczą się szlakiem idącym nad samą przepaścią — myśl tych którzy widzą jasno jej niebezpieczeństwo ucieka do czasów, gdy zjednoczenie jej było tak bliskie, by szukać tam wzoru i pocieszenia. Czy jest to powrót do źródeł?

TERESA SKÓRZEWSKA

NOTATKI DLA PRZYJACIÓŁ Z WARSZAWY

TAMTEN WRZESIEŃ

II

Niebawem zaczął napływać nowy element. Wkroczenie Niemców przerwało mobilizację. Młodzież ziem zajętych lub zagrożonych, zdezorjentowana, nie otrzymawszy wskazówek, ruszyła na poszukiwanie swych formacji. Wędrowali brzegiem dróg niekończącym się pochodem. Przed dom zajechał samochód pełny znajomych młodych ludzi z Krakowa.

Przenocowawszy jechali meldować się do Ostrowca. Ja nie wiedziałam co począć. Poczta z chwilą wybuchu wojny przestała funkcjonować. Nie było mowy, by doszedł mnie na miejscu rozkaz z Centrali Czerwonego Krzyża. A Niemcy mogli każdej chwili nas zagarnąć. Postanowiłam jechać, zorientować się w Komendzie Placu.

W Ostrowcu tłoczno. Zatory wojska, uchodźców. Tłum miejscowy zalegał rynek w pogoni za wiadomościami, które rozchodziły się po kraju szlakami tysięcy tułaczów, przekształcone lękiem lub nadzieją. Gazet nie było, radio warszawskie zamilkło.

Komendę Placu oblegali ludzie idący od południowych granic. Stali cierpliwie, głodni i senni. Raz poraz przechodził oficer służbowy. Jak do magnesu przywierali do niego. Opędzał się: „Tu nic nie wiemy. Ruszać dalej za Wisłę". Ręce wyciągnięte po karabin opadały. Za tym tłumem, którego woli służenia nikt już nie umiał skupić w siłę zbrojną, zwolna, systematycznie posuwały się zmotoryzowane niemieckie kolumny.

Smutny był widok dygnitarzy wojskowych wywożących kobiety samochodami armii do rumuńskiej granicy. **Bohaterów były tysiące. Bronił się Hel, Westerplatte, Konnica szarżowała na tanki. Brakło mózgu, serca i ręki zdolnych poszczególne wysiłki zgrać w całość. Naród pozostawał sam. Jego woli bytu wrącej jak płynna stal nie przekuto w skuteczną broń.**

* * *

Mnie poinformowano w dowództwie, że normalną drogą do Warszawy nie dojadę. Poradzono mi próbować przedrzeć się prawym brzegiem Wisły. Państwo J. popasający u pani Marii zgodzili się mnie zabrać.

Niemców widziano już w paśmie Świętokrzyskim. Wyruszaliśmy więc śpiesznie. Noc była bardzo ciemna. Zabłądziwszy na polnych drogach, zawróciliśmy na szosę. Mijały nas jak widma krwawe krzyże słabo świecące na niewidzialnych samochodach. Podobno tak infiltrowali Niemcy. Potem szła nasza piechota. Zmęczeni żołnierze rojem obsiedli wozy uchodźców. Kuchnie polowe przesuwały się na tle nocy monotonnym czarnym fryzem, jedna za drugą, bez końca. — Jakże ich brakło w oddziałach. Chłód przedświtu zaczął przenikać. Dzień się rozświetlał jak niezkazitelny kryształ lunety wystawiając ziemię na obstrzał. Samoloty zaczynały warczeć. Ruch bombowców nad linią Wisły wzbudzał nadzieję, że się tam obrona gotuje. Wzdłuż drogi las się ciągnął. Młode świerczki rozpostarły szerokie krynoliny. Sosny wysoko ponad nie wznosiły pióropusze. Zaszyliśmy się w ten schron. Wśród wrzosów mieniących się błękitem, fioletem, czerwienią, spacerowały owady w różnobarwnych, różnokształtnych strojach lśniących jak klejnoty. Zasypiało się spokojnie w pierwszych promieniach słońca, choć echa przeciągały wybuchy w nieustający daleki grzmot.

Atakowano most w Annopolu. Wieczorem zaczął płonąć. Przeprawa przez Wisłę stawała się wątpliwa. Za radą miejscowych gospodarzy pojechaliśmy do promu o 20 km. w dół rzeki. Most płonący widniał z dala jak szkarłatna, poszarpana wstęga.

Polną drogę schodzącą do promu zatłaczał pochód uchodźców. Z dala wśród sitowia, dołów pełnych wody, zapalały się krótkie, przerywane w niebo kierowane błyski. Niemiecka ludność i przekupione szumowiny rzucając rakiety, podpalając stogi, sygnalizując kieszonkowymi latarkami przywoływały bombowce.

Prom żmudnie przewoził po dwie, trzy furmanki. Gdy po wielu godzinach przyszła na nas kolej, oddział piechoty zażądał pierwszeństwa, informując, że Niemcy tuż za nimi. Wreszcie nas załadowano. Granatowa ciemność nocy łączyła niebo i wodę w jedną otchłań. Prom zdawał się wisieć nieruchomo w międzygwiezdnej przestrzeni; potem zarył się w piachy nadrzeczne.

— — — — — — — — — — —

Byliśmy na prawym brzegu Wisły. Nadzieje nasze wyśniły tu żelazny wał, o który rozbiją się tanki.

Lecz w wstającym dniu z pustki łęgów, obrzeżonych zboczami jasnych skał kredowych wyrastały tylko zrzadka grupy topoli, różowymi w pierwszych brzaskach dnia kolumnami przypominając śródziemnomorskie ruiny. Lekki wiatr przesuwał barwne, krągłe obłoki podobne do dziecinnych baloników. Promienie słońca, rozpraszane ich grą, obrzucały dolinę pysznymi, ruchomymi światłami. Wisła nieśpieszna, leniwymi ramionami obejmując piaszczyste łachy rozlewała się szerokim korytem nietkniętych ludzką wolą rzek azjatyckich. Kiedyś życiodajna wykołysała Polskę; niosła ją z Krakowa ku Bałtykowi. Spławiając bogactwo kraju, zakwitła Sandomierzem, Kaźmierzem, Toruniem. Polska współczesna pokochała morze, z piachów nadrzecznych niczem bicz Twardowskiego wykręciła Gdynię, lecz zapomniała o wiernej rzece. Całe lato spędziwszy nad jej brzegiem widywałam tylko drobne parowce, przedzierające się zrzadka z Warszawy w górę, jak daleko się uda w przeprawach mozolniejszych i dłuższych niż podróże poprzez Atlantyk.

Na martwych brzegach dziwiła tylko zamożność osad niemieckich. Ich to bengalskie ognie witały dzisiaj najeźdźcę.

Polami włokły się pasma dymów. Cały kraj przesiąkał zapachem spalenizny. Ciszy narazie nic nie przerywało. Wypoczynek w stajni przydrożnej zakłócało tylko kotłowanie szczurów w słomie. W drodze wszędzie wynoszono gościnnie tułaczom dzban mleka, bochenek chleba, odrzucając propozycję zapłaty. Znacznie częstsze były bramy szeroko otwarte, niż zaryglowane, niechętne.

Kraj ciągnął się bezdrzewny na kształt mapy lub geometrycznego wykresu. Śladem reformy rolnej niknęły parki, drzewa przydrożne, zasobne gospodarcze budynki. Na miejscu ich powstawały gospodarstwa tak drobne, że sączyć się z nich mogło tylko chroniczne ubóstwo. A przecież po stu latach niewoli nie brakło terenu pracy, i żaden mus nie tłómaczył dzieła burzenia, wykorzeniania rodzin zrosłych z ziemią życiem dziesiątek pokoleń w symbiozę, której nagłe rozerwanie niszczyło ludzi i glebę.

Wojna jednym zamachem zmiotła oficjalną opiekę. W drugim tygodniu września Kostek Biernacki mianowany komisarzem dla ludności cywilnej, poradził jej, by nie opuszczała domów. Lecz cała Polska była już na gościńcach, wypłoszona wskazówkami zamaskowanych agentów niemieckich: „Tu będzie linia frontu. Usuńcie się".

Kolumny wojsk naszych błądziły, zatraciwszy między sobą łączność. Mapką wyrwaną z rozkładu jazdy, ratowałam dowódcę kolumny samochodów, który bez jakiejkolwiek karty nocami po omacku posuwał się do wyznaczonego mu, może już nieaktualnego celu. Pieszo z swoim oddziałem szedł białowłosy pułkownik. Nie mając możności nakarmić ludzi na szlaku ogołoconym wędrówką tłumów dzielił ich głód i zmęczenie, wózek oddawszy chorym żołnierzom.

Dalej droga zabarykadowana okopem, którym kapitan z jednym karabinem maszynowym i garstką ludzi. zamierzał wstrzymywać pochód tanków. Stała polska dola: selekcja najlepszych na śmierć.

Moi towarzysze z przygarniętymi po drodze okaleczałymi wędrowcami, pogubionymi dziećmi, dotarli do domu bratowej w Łęcznej pełnego już jak stodoła po żniwach. — Chcąc się koniecznie przedrzeć do Warszawy przeniosłam się na wózek gospodarza spod Garwolina.

Droga zrazu wypełniona jak wszystkie tysiącznym tłumem, pustoszała. Zapadaliśmy w głuchy bezkształt piasku i mgły. Ciszę przyczajoną rozrywał czasem bliski strzał karabinowy: potem zaczęły w nią wnikać rytmiczne uderzenia armat spod Modlina.

Nagły błysk rozbudził mnie z sennego zdrętwienia. Dwóch drabów zaświeciło kieszonkowymi latarkami. Otaczała nas gromada zbirów, jak w nakręconym do filmu napadzie. Oprzytomniawszy rozróżniłam mundury policji. Zażądali papierów. Mimo dowodu osobistego, rozkazu stawienia się w razie wojny do dyspozycji niepokoiła ich moja podróż ku Warszawie. Zaprowadzili nas na posterunek, gdzie odbył się wywiad. Po tajnej a hałaśliwej naradzie za drewnianym przepierzeniem władze doszły do wniosku, że nie jesteśmy szpiegami. Odprawiły nas łaskawie, informując jednak, że droga do Garwolina przecięta. Niemcy tuż: oni sami mają posterunek zwinąć nazajutrz o świcie. — Zmarźnięta, speszona straciłam animusz do dalszej jazdy pod włos.

Skręciliśmy do Lubartowa, gdzie gospodarz miał krewnych. W drodze z niezrewidowanej kieszeni płaszcza wydobyłam bezmyślnie jakiś papierek. Okazał się listem przez lekarza Niemca przed wojną do mnie pisanym. Roześmiałam się rada życiem. W rękach na wyłapywanie szpiegów nastawionej policji, byłby wystarczył, aby mnie w ciemną noc pogrążyć na zawsze. Mówiono w Ł. że żandarm zastrzelił na miejscu dyrektora jednej z hut Śląskich, który po utarczkach robotników w pierwszych dniach września wyjechał, mając w kieszeni zdartą prowokatorowi hitlerowską przepaskę.

— — — — — — — — — — —

Lubartów. Brudne, żydowskie miasteczko, gorączkowało jak rozkopane mrowisko. Popłoch, bałagan, rewizje papierów i tobołków przez coraz bardziej zakazane indywidua, czychające na połów ryb w mętnej wodzie.

Wytaszczyłam tobołek za miasto i usiadłszy nad drogą dosyć zakłopotana, zabrałam się do śniadania, co przywabiło paru równie bezradnych żołnierzy. Ukonstytuowawszy się w radę wojenną, postanowiliśmy przyłączyć się do projektowanych formacji, które grupa oficerów gromadziła nad Wieprzem chcąc ją prowadzić do Krzemieńca i stamtąd jeszcze organizować opór.

Chłopcy zdobyli wasążek. O zmierzchu docieraliśmy do M... R...

Dwór był niski a szeroki; wokoło rzeka srebrnym splątanym sznurem lśniła na spłowiałym aksamicie łąk. W ogrodzie dzieci biegały z wszystkich stron przywabione warkotem bombowca. Kładły się na środku trawnika strzelając z łuku, zachwycone przemarszem wojsk, kopaniem schronu, zakłóceniem trybu życia dziecinnego pokoju.

Dokończenie na str. 4-ej

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

CHOPIN W ARGENTYNIE

—Mirà, mirà, mammita — Chopin — powiedziała dziewczynka o czarnych, błyszczących włosach, ciągnąc ku wystawie matkę. Zaraz też przylgnęła do szyby ciemną, skupioną twarzą. Patrzyłam wraz z nią. W witrynie księgarni był rzeczywiście Chopin. Pięknie rzeźbiona głowa stała pod dużym plakatem roku chopinowskiego, na którym słowo — **Polska** — leżało na klawiszach biało-czerwonym łukiem. Tuż obok stały wysmukłe dalie, lekko dotykając rzeźbionych włosów Chopina. A dalej — książki o nim Liszta, Guy de Pourtales'a, Salvaneschi'ego. I nuty. I portrety. I fotografie.

Tak. Tu, przed wzrokiem argentyńskiej dziewczynki i moim królował Chopin. Dziewczynka zaciekawiła mnie. Miała może dwanaście lat. Patrzyłam na nią długo, gdy odchodziła z matką. Skąd wiedziała o Chopinie?

Ach, teraz wiem, że takie pytanie musiałabym powtarzać niezliczone razy. Bo skąd wiedział o nim ten przechodzący chłopak w roboczym kombinezonie, lub ta gruba kobieta z koszykiem jarzyn? Wszyscy oni przystawali przed wystawą, patrzyli długo na rzeźbę, na słowo — Polska —, ba — nawet mówili o nutach i o Warszawie.

Cieszyło mnie to tak bardzo, że gotowa byłam stać przy wystawie długie godziny, by jak cierpliwy rybak łowić spragnionym wzrokiem myśli o Polsce.

Na wszystkich wystawach księgarni królował tak pięknie Chopin, a w innych sklepach można było widzieć jego rzeźby, duże i małe, wreszcie zupełnie malutkie figurki z gipsu alabastru. Twarz na tych figurkach była nieco zniekształcona, lecz wyglądały wdzięcznie i ślicznie. Pan Chopin przy klawikordzie siedzący, odchylał nieco głowę, patrzył daleko. Pan Chopin na innej figurce uśmiechał się dziwnie, jakby myślał o George Sand.

Kupowały te figurki młode Argentynki, ciesząc się bardzo z małego, gipsowego pana Chopina.

Figurki takie widziane poraz pierwszy — dziwią i cieszą. Lecz gdy tak spotyka się je wszędzie i wszędzie — robi się prawie przykro: może ta nadmierna popularność razi Chopina? — Zapewne nigdy nie pomyślał w swym życiu, że figurkę wyobrażającą go postawi sobie na stoliku wnuczka Indianina o twarzy czarnej i jeszcze nieco dzikiej.

Fakt jednak pozostaje faktem: Argentyna w sposób szczególny kocha Chopina. Październik b.r. był tu miesiącem Jego wielkiej chwały. Pomijając koncerty i ciągłe audycje radiowe, pomijając wspaniałe wystawy i owe wdzięczne figurki — Buenos Aires złożyło Chopinowi wielki hołd, w rocznicę śmierci wmurowując tablicę pamiątkową w pomnik artysty w parku Chacabuco. Piękny to pomnik. Bronzowe popiersie Chopina na kamiennym cokole stoi wśród wosiennych drzew, wśród kwiatów: Wzniesiony przez Konserwatorium im. Chopina w roku 1944 — wzbogacił się teraz pomnik o dwie tablice Jedną z nich ufundowali profesorowie i uczniowie wspomnianej uczelni, drugą Związek Polaków. Uroczystość odsłonięcia tablic w dniu 16 października była piękną manifestacją polsko argentyńską, była wzruszającym świętem wygnańców.

Oto dźwięki Marsza Żałobnego wybijają rytm kroków dziecinnych: najmłodsi uczniowie konserwatorium zaczęli defiladę. W białych fartuszkach szkolnych na tle wiosennego parku są oni cichym wzruszeniem. Małe dziewczynki składają u stóp pomnika kwiaty. Śliczne są te dziewczynki przejęte chwilą, wzruszone, niespokojne, czarne i takie wdzięczne.

Zaraz po defiladzie przemawia prof. Gilardo Gilardi: „Fryderyku Chopinie, poeto fortepianu i wielki księciu muzyki, — przyszliśmy tu do Ciebie, wykutego w bronzie, by Ci powiedzieć o naszej miłości, by złożyć Ci hołd Żołnierzu Wolności Polski — Twej umiłowanej ojczyzny—"

Hiszpańskie słowa padają w ciszę serc, w delikatny szum drzew wiosiennych, w obce, argentyńskie niebo. Piękne są te słowa, serdeczne i proste. Z kolei przemawia w imieniu Polonii argentyńskiej p. St. Pyzik, po czym następuje odsłonięcie tablic przez dyrektora Konserwatorium i Prezesa Związku Polaków J. Zapadkę. Płyta polska nosi następujący napis w języku hiszpańskim: — W setną rocznicę śmierci Genialnego Rodaka, który uwiecznił w swej muzyce ból, wielkość i niezłomną wiarę w wolność Polski — Związek Polaków.

Patrzę na twarze zgromadzonych. Są wzruszeni. Kobiety ocierają łzy. Sama mam łzy w oczach. Bo wszakże trudno jest teraz nie płakać. Ten płacz ma w sobie i żal i radość dziwną i dumę i tęsknotę i wiarę.

Duma i radość — z Chopina — chorego wygnańca o smukłych dłoniach, który potrafił wznieść swą ojczyznę wysoko — i pokazać ją całemu światu.

Tęsknota — rzecz prosta — za Polską.

A wiara — rzecz prosta — w powrót.

W triumf idei dobra i piękna, myśli i ducha.

Albowiem ten oto Chopin, ten władca muzyki, ten człowiek, który nigdy nie dotknął karabinu swą dłonią wiotką—potrafił dokonać cudu, jakiego nie dokonał żaden wódz, żaden mąż stanu: zwyciężać ludzkie dusze, unieśmiertelnić ojczyznę, unieśmiertelnić wolność tej Ziemi, której ciemne, drobne grudki, przywiezione ongiś z Kraju, padały na trumnę Wielkiego Wygnańca.

Józefa Radzymińska

ALEKSANDRA POLESKA

KULISY SPRAWIEDLIWOŚCI

CIEKAWĄ jest rzeczą, że powieść sensacyjna w Polsce, jako gatunek pisarski, prawie się nie przyjęła. Brak nam tradycji tego typu twórczości, a publiczność zawsze odnosiła się do książki „detektywistycznej" z lekceważeniem. Być może przyczyny takiego stanu rzeczy szukaćby można w tym, że w naszym zakątku Europy samo życie przewyższa często najśmielsze pomysły powieściowe i nie trzeba już szukać sztucznych dreszczyków emocji. Potwierdzeniem tego poglądu jest choćby Wielka Brytania — kraj do niedawna najbezpieczniejszy — gdzie nowożytna powieść kryminalna urodziła się i rozkwitła jak nigdzie na kontynencie. Dawała ona widocznie konieczne odprężenie prozaicznemu businessmanowi, umożliwiała codzienny i tani wyskok wyobraźni ze zbyt sztywnych norm kupieckich, rozgrzeszała wreszcie z wędrówki umysłu do tych dziedzin, do których dostępu wzbraniała konwencja purytańska.

W literaturze światowej ustaliły się dwa typy powieści kryminalnej, której ojcem był genialny powieściopisarz i przyjaciel Dickensa — Wilkie Collins. Pierwszy, nazywany w skrócie przez Anglików „whodoit" — odznacza się tym, że sama intryga jest źródłem najwyższego zainteresowania dla pisarza, a potem dla czytelnika. Autor stwarza, a jego odbiorca śledzi pasjonującą akcję aż do momentu wykrycia zbrodniarza. Kiedy raz tajemnica zostaje ujawniona, zjawia się zwykle uczucie zawodu i bardzo rzadko bierze się do ręki po raz wtóry książkę już przeczytaną. Najbardziej znaną obecnie przedstawicielką tego gatunku jest Agatha Christie — autorka kilkudziesięciu tomów, napisanych z głęboką znajomością techniki i z dużym kunsztem dialogu.

Drugi typ to powieść popularna z tezą. W tym wypadku pisarz posługuje się intrygą tylko w tym celu, aby czytelnik łatwiej strawił pożywienie intelektualne, jakie mu podsuwa; udaje, że to tylko „thriller", podczas gdy niejednokrotnie jest to nieledwie traktat filozoficzny. W taki sposób ukazywał swoje wizje świata widzialnego i niewidzialnego Chesterton w opowiadaniach o księdzu Brownie. Podobnie w Polsce przemycał Wybranowski swoje postulaty polityczne w lekkiej napozór powieści rozrywkowej „Dziedzictwo".

Nowa książka Stefana Kisielewskiego *): „Zbrodnia w dzielnicy północnej", należy właśnie do tego drugiego typu. Zajmuje się ona problemem moralnym niezwykłej wagi, a równocześnie posiada wysoce poplątaną intrygę, trzymającą nas przez cały czas w napięciu. Świetny jest początek, samo zawiązanie wątku. Od pierwszego słowa magia talentu autora działa niezawodnie. Oto treść pierwszego rozdziału:

Komisarz policji Gromel siedzi sam na sam z nieboszczykiem w pokoju, gdzie przed paru godzinami dokonane zostało morderstwo na znanym uczonym, profesorze Galardzie. Czekając na przyjazd lekarza, Gromel, jak urzeczony, nie może ani na chwilę oderwać myśli od nieruchomej masy na łóżku. Już prawie zaczynamy oczekiwać, że trup się poruszy, gdy wtem w ciszę pokoju wpada dźwięk dzwonka telefonu. Jakiś głos kobiecy pyta, czy profesor Galard jeszcze żyje.

— Czy żyje? A dlaczego nie miałby żyć? —

— Bo pan go zabił — powiada głos rezolutnie.

W tej chwili słychać stukanie do drzwi. To pewnie lekarz — myśli Gromel. I powiada do telefonu:

— Czy może pani zaczekać pół minuty przy aparacie?

— Mogę, morderco.

Komisarz otwiera drzwi i otrzymuje straszliwy cios w głowę.

Po tak obiecującym początku trudno jest autorowi w następnych rozdziałach dotrzymać kroku rozgorączkowanej ciekawości czytającego. Dłużą się trochę w dalszym toku opowiadania szczegółowe opisy miasta, mającego wszelkie pozory przedwojennej Warszawy. Atmosfera jest jednak tak odrealniona, a nazwy ulic i osób tak międzynarodowe („Lwi zaułek", „Pasaż Salisburga", — Hagewand, Pikron, Malon, Kalk), że widzimy odrazu, iż Kisielewski życzy sobie, aby akcja rozgrywała się w jakimś abstrakcyjnym „wielkim mieście współczesności". Nastrój grozy i oczekiwania podkreślony jest przez nieustanną wichurę, jaka szaleje na ulicach miasta. W rzadkich chwilach ciszy melancholijne zdanie „człowiek nigdzie nie jest tak samotny, jak w wielkim mieście" powraca z uporem natrętnej frazy muzycznej. Niestety osiągnięty nastrój rozładowuje zbytnie przywiązanie do opisów sytuacji, zamiast posługiwania się dialogiem. Dialog w powieści kryminalnej to najbezpieczniejsza chyba technika i pisarze angielscy doskonale ją rozumieją. Tym sposobem bowiem łatwo jest pokazać tylko to, co się chce ujawnić w danej chwili. Natomiast kiedy autor chce wszystko wprost od siebie powiedzieć, to czytelnik zawsze czuje się wzięty na kawał, bo pisarz z konieczności musi pewne rzeczy przemilczać i to często w sposób dosyć nienaturalny. Czasem znów zdarza się odwrotny wypadek: „korzystając z praw autora i czytelnika spróbujmy niepostrzeżenie wślizgnąć się do gabinetu i wysłuchać tej rozmowy".

Takie zdanie zupełnie podrywa wiarę czytającego w autentyzm opisywanej sceny. Technika zwracania się bezpośrednio do odbiorcy jest przeżytkiem XIX w. i dziś robi wrażenie braku wyrobienia pisarskiego. Tymczasem Kisielewski zaczyna jeden z rozdziałów według klasycznej reguły Trollopa czy Thackeraya: „zanim opiszemy dalsze wydarzenia, jakie rozegrały się w zakładzie chemii, zmuszeni jesteśmy cofnąć się trochę w czasie, aby zapoznać czytelnika w przeżyciami komisarza Gromela od chwili..." itd. Jest to niedopuszczalne uproszczenie, po prostu już lekceważenie swego rzemiosła, wszyscy bowiem wiedzą, że autor do niczego nie jest „zmuszony", a sam wybiera elementy swych efektów. Nie powinien on być wogóle wyczuwalnie obecny w żadnej powieści, a już najmniej w powieści sensacyjnej, chyba, że opowiada konsekwentnie w pierwszej osobie. Wtedy bowiem psychologiczne prawdopodobieństwo postaci nakłada mu pewne ograniczenia, wtedy jedne rzeczy musi wiedzieć, a drugich wogóle znać nie powinien, — to właśnie daje wspaniałe możliwości trzymania czytelnika w napięciu. Dlatego właśnie Wilkie Collins często opowiada w pierwszej osobie — w jednej ze swych powieści posunął się aż tak daleko, że wziął na siebie rolę młodej kobiety zaraz po ślubie, bo wiedział, że inaczej nie uprawdopodobni opowiadania. Natomiast Kisielewski trochę zaniedbał tego dobrowolnego ograniczenia swojej wszechwiedzy autorskiej — pozostał wszechobecny, co powoduje, że tajemniczość jest czasem sztuczna, a czytelnik rozgoryczony świadomością, iż autor wie przecież doskonale, co się stało, a tylko nie chce tego ujawnić.

Wszystkie te usterki nie psują oczywiście powieści jako całości. Jest ona doskonale skonstruowana, a sam pomysł — żywcem wzięty z realiów epoki atomowej — doskonały! Dowiadujemy się, że profesora Galarda zamordowano dlatego, bo wykrył on jakiś sekret przyrody, który zastosowany jako broń mógłby dać zupełną przewagę jednej stronie nad drugą. O zdobycie tego sekretu walczą dwie skrajne partie polityczne: nacjonalistyczna — „Naród Przebudzony" i anarchistyczna — rewolucyjna — „Świat Nowy". Trzecim czynnikiem komplikującym akcję jest działalność opanowanej przez masonerię tajnej policji politycznej, o której pociągnięciach nie jest informowany zwykły wydział śledczy wraz z bohaterem powieści komisarzem Gromelem. Zawiłości sytuacyjnych jest prawie aż za wiele i podziwiając zręczność i inteligencję autora w operowaniu rozlicznymi motywami — wzdychamy chwilami do jakże genialnie prostych pomysłów nowel Chestertona. Z drugiej strony jednak trzeba pamiętać, że powieść wymaga więcej materiału anegdotycznego niż nowela.

Problem zajmujący Kisielewskiego jest — jak już wspomnieliśmy — problemem moralnym i to tak sformułowanym że dla nas, Polaków, ma niezwykłą siłę przyciągającą. Dylemat nr. 1 (raczej uboczny) czy istnieje jakaś różnica moralna między działaniami wojennymi a zwykłym zabójstwem? Dylemat nr. 2 (podstawowy) — czystej sprawiedliwości z zasadniczym pytaniem, czy w imię dobra Ojczyzny wolno popełnić świadome zabójstwo? O ile pierwszy, potraktowany marginesowo nie pozwala nam poznać dokładnie stanowiska Kisielewskiego, to drugi ma wydźwięk rzetelnej powagi. Nie jest on oczywiście nowy ani w naszej literaturze ani w żadnej innej, ale autor potraktował go w sposób całkowicie oryginalny i przekonywujący. Postać komisarza ucieleśnia pojęcie sprawiedliwości idealnej. Oto jak wygląda końcowa rozmowa jego z ministrem administracji i sprawiedliwości. Komisarz żąda postawienia sprawcy zbrodni przed sąd:

— Radca Pikron jako winien podwójnego morderstwa, powinien bezwarunkowo znaleźć się przed sądem!

— A jeśli zbrodni swych dokonał dla dobra, dla obrony republiki? Jeśli oddanie go pod sąd zachwiałoby autorytetem rządu, a wzmocniłoby wrogów republiki? Czyż nie można dokonać jednej zbrodni dla ocalenia milionów mieszkańców tego kraju?

Zaś w dwa tygodnie później; kiedy morderca zginął w tajemniczym wypadku samochodowym:

— Czy pan jest wierzący, komisarzu?

Gromel zawahał się... Ja... nie... to jest... właściwie nigdy o tym nie myślałem.

— A ja wierzę. I mimo to wziąłem tę zbrodnię na swoje sumienie... ale każda zbrodnia musi być ukarana i moja też będzie ukarana... pan jest czystym sługą republiki, a ja skalanym.

Gromel wychodzi z gabinetu ministra wstrząśnięty tym co usłyszał. Odegnał jednak wszystkie myśli i w głowie wirowała mu tylko jedna: służyć nadal, służyć prawu, służyć sprawiedliwości, służyć republice. I nie myśleć o niczem więcej. To niepotrzebne.

Aleksandra Poleska

*) **Stefan Kisielewski: „Zbrodnia w dzielnicy północnej", Poznań, 1948.**

TAMTEN WRZESIEŃ

Dokończenie ze strony 3-ej

Byłam tak senna, że nie zdziwiłam się spotykając na progu wuja i ciotkę z Wielkopolski. Postanawiali nie ruszać się z domu lecz ich także fala aż tu przyniosła. Po drogach i postojach spotykało się i znajomych, jak przed dwudziestu laty na „Pewuce" w Poznaniu, gdy przyciągały nagle rysy koleżeństwem szkół, uniwersytetu czy wojny tak bliskie, a życiem zmienione, że rzucano się ku sobie z zapytaniem: „gdzie byliśmy razem?" Lecz dziś przyjaciele witali się cicho, jak u wezgłowia umierającego. Bezradny pochód milionów przypominał taniec Chochoła.

Próby zajęcia się czemkolwiek zawodziły. Słuchaliśmy radia, które przynosiło strzępy informacji, rwane jak przez silną wichurę. Dotarło zdanie: „Bolszewicy przekroczyli granicę — zajęli Krzemieniec —" Nikt się nie odezwał, nie poruszył. Jak kiedy po zgonie bliskiego człowieka, odłożono lekarstwa, dom zalegla cisza. Godziny ciągnęły się niewymiernie jak wieczność.

— — — — — — — — — — —

Z wojska co lepsi nie rzucili broni; lecz walka przeistoczyła się w partyzantkę. Liczne oddziały ukryły się w lasach nad Wieprzem. Bombowce kołowały nad nimi okrężnym lotem jastrzębi. Odgłos wybuchów przeciągał się długim echem, jak podzwonne.

HOLENDERSKA SENSACJA: RUBENS CZY VAN NOORT?

OBRAZY Piotra Pawła Rubensa są w rzeczywistości dziełem jego nauczyciela, Adama van Noort, który nie mógł występować jawnie w należącej podówczas do Hiszpanii południowej części Holandii, ale kazał sobie za swoje genialne dzieła dobrze płacić — oto wniosek, do jakiego po trzynastoletnich studiach doszedł antwerpski inżynier, R. Druwé (R. Druwé: Rubens naamen jaartaltechniek). Konserwator domu Rubensa w Antwerpii, Th. Ruyten, wystąpił we flamandzkim tygodniku „De Post" przeciw twierdzeniu Druwé'go.

Druwé posiadał w swoim domu obraz „De Pestzieken" (Zadżumieni), przypisywany Rubensowi. Pewnego dnia odkrył on na nim nazwisko Rubensa oraz datę namalowania obrazu. Było to prawdziwe odkrycie, gdyż dotychczas panowało przekonanie, że Rubens swoich obrazów nie podpisywał i nie umieszczał na nich daty. Na tym samym obrazie odkrył Antwerpczyk coś więcej. Na piersi jednej z figur znalazł on wytatuowany monogram Adama van Noort. Podobny monogram znalazł również pod stopami „Chrystusa na Krzyżu" Rubensa, a tuż pod ramieniem postac klęczącej na obrazie „Trzej Królowie" spotkał cały szereg znaków, które odcyfrował, jako „Van Noort fecit, niet Rubens".

Ruyten reaguje na to odkrycie uwagą, że uzasadnienia Druwé nie są przekonywujące, gdyż na rękawie jednej z niewiast na „Zdjęciu z Krzyża" znalazł podpis van Dijcka, podczas kiedy wspomniany obraz pochodzi z roku 1611, kiedy van Dijck miał zaledwie dwanaście lat, był uczniem van Baerle'go i nie miał jeszcze żadnego kontaktu z Rubensem.

Lecz Druwé ma jeszcze inne argumenty. Istnieje mianowicie więcej niż dwa tysiące znanych dzieł Rubensa. Na ich malowanie konieczne było conajmniej czterdzieści lat systematycznej pracy. Tego się nie da pogodzić z jego licznymi czynnościami dyplomatycznymi, z bardzo bujnym trybem życia — Druwé opisuje Rubensa jako próżnego materialistę, pozbawionego uczucia przyjaźni, prowadzącego niczem nieskrępowane życie i pogardzonego przez własnego brata, żonę i wielu innych. Na potwierdzenie swojego zdania cytuje Druwé kilka wierszy z listu brata Rubensa. Pogardę ze strony Heleny Fourment uzasadnia on faktem, że natychmiast po jego śmierci sprzedała wszystko, co jej go mogło przypominać, nie wyłączając odzieży. W późniejszym wieku cierpiał wreszcie Rubens na paraliż, a więc sam wszystkich swoich dzieł namalować nie mógł — twierdzi Druwé. Odrzuca on przypuszczenie, że Rubens mógł się posługiwać całym szeregiem pomocników, gdyż, jak twierdzi, wszystkie przypisywane Rubensowi dzieła wykonała ta sama mistrzowska ręka. Mogła to być tylko ręka Adama van Noort.

Tu samo narzuca się pytanie: jaki cel mogło mieć tak wielkie oszustwo i przypisywanie arcydzieł człowiekowi, który rzekomo nie umiał malować?

Druwé wskazuje tu na okoliczność, że Rubens był dyplomatą, a może nawet szpiegiem, więc potrzebna mu była pewnego rodzaju wizytówka, która zgóry dawała mu dostęp do wysoko postawionych osób, wprowadzała go na dwory i w ten sposób znacznie ułatwiała pracę. Wrogo do Hiszpanów nastawiony van Noort nie chciał zwracać na siebie uwagi, więc w ten sposób miał pomagać Rubensowi.

Od Ruytena dowiadujemy się znowu, że Rubens z całą pewnością miał cały szereg współpracowników, którzy by coś musieli o tym fałszerstwie wiedzieć; że Rubens nie był sparaliżowany, lecz tylko od czasu do czasu miewał ataki artretyzmu. Na uzasadnienie reprodukuje podpis Rubensa z okresu choroby, niemniej ozdobny niż jego podpis z czasów wcześniejszych. Obrońca malarza przytacza urywek z listu Filipa Rubensa, z którego widać właśnie przywiązanie do brata. Że Helena sprzedała odzież Rubensa, mimo, że nie cierpiała niedostatku, wyjaśnia Ruyten niezgodą dzieci z pierwszego i drugiego małżeństwa co do podziału spadku, przy którym jedyne rozwiązanie miała stanowić sprzedaż.

Ale Druwé nie daje za wygraną. Pisze on, że i van Noort pogardzał Rubensem, choć za niego pracował. Na „Trzech Królach" znalazł on nazwisko Rubensa tuż nad głową tłustej świni, podczas gdy monogram van Noorta ma się znajdować na głowie wspaniałego konia.

Nakoniec stawia Druwé pytanie, skąd czerpał van Noort tak wielkie dochody, na jakie wskazuje sposób jego życia, skoro pozostawił bardzo mało obrazów.

Argumenty obydwu stron są ciekawe, aczkolwiek problemu nie rozwiązują. Kwestia — Rubens czy van Noort — rozwiązana nie jest. A jednak monogramy na obrazach jakieś znaczenie mieć muszą.

Marian Albiński

WACŁAW GRUBIŃSKI

LENIN (3)

Komedia

GOTORPOW

Jeszcze niemożliwsze było runięcie caratu, a przecież...

KARANDOWA

(zadreptała na miejscu)

Dopiero teraz chwytą mnie obawa o mojego Wanię.

SADOUL

Co?

Mój mąż, aresztowany zecer. Dotąd byłam, dziwna rzecz, spokojna... Zupełnie.

KARANDOWA

SADOUL

Nic mu się nie stanie.

KARANDOWA

(szeptem)

Boże!

Wpada Gorkij.

GORKIJ

(do Gotorpowa)

Towarzysz Lenin?

(dyszy)

GOTORPOW

Pracuje.

GORKIJ

Delegacja od strajkujących! Na dole!

SADOUL

V'l'en! Bardzo ciekawe!

(do Karandowej)

Madame...

(kłania się; wychodzi)

GORKIJ

Zinowjewa podobno robotnicy zbili.

SADOUL

(przystanął we drzwiach; rozbawiony)

Nie? Tak rzetelnie?

GORKIJ

Podobno, podobno. Nie ma w tym nic zabawnego.

SADOUL

O, la, la! „Nie ma w tym nic zabawnego". Te same słowa powiedział w roku 1905 Mikołaj II, gdy w jego obecności zażartowano z bomb, rzucanych na ministrów, gubernatorów i żandarmów.

GOTORPOW

(naiwnie)

Nie przypominam sobie.

SADOUL

(wyszedł, nucąc)

Cet animal est très méchant;
Quand on l'attaque, il se défend.

GORKIJ

(do Karandowej)

Przepraszam.

(podaje jej rękę na przywitanie)

Bardzo poważna chwila. Ten strajk.

(do Gotorpowa)

Czy by nie można zaraz pomówić z Leninem?

GOTORPOW

(przeczy głową)

Nie.

GORKIJ

Niemożliwe?

GOTORPOW

Nie.

GORKIJ

(nagle odwraca się, woła ku drzwiom)

Sadoul!

(biegnie; wybiegł)

KARANDOWA

(po chwili)

On chyba przesadza.

ŁUNACZARSKIJ

(ukazuje się na progu)

Zdawało mi się, że słyszę głos Gorkiego.

(Otwierają się drzwi w ścianie poprzecznej i po czterech schodkach zbiega urzędniczka, młoda, krótko ostrzyżona dziewczyna w okularach. — Drzwi lewe, prowadzące do przedpokoju, również nie bezpośrednio dotykają gabinetowej podłogi, lecz łączą się z nią za pomocą czterech schodków)

URZĘDNICZKA

(biegnie do Leninowskiego biurka i szybko wybiera papiery)

GOTORPOW

Towarzysz Lenin długo jeszcze?

URZĘDNICZKA

Już skończył.

(porwała plikę papierów, wybiegła)

KARANDOWA

(w zdenerwowaniu wstała, zawahała się i usiadła)

Nie przypuszczałam, że ten strajk zecerski jest czymś tak... poważnym.

ŁUNACZARSKIJ

(wybucha)

Ale bo to wina Dzierżyńskiego!

KARANDOWA

Dlaczego?

ŁUNACZARSKIJ

On nie potrafi! On w gruncie rzeczy nie umie! Raz wyłapać wszystkich agitatorów i będzie spokój!

(Otwierają się prawe drzwi w poprzecznej ścianie; wchodzi Lenin; prawie przystanął, trzymając rękę na klamce, i patrząc spokojnie po obecnych. Charakterystyczną cechą tej postaci jest spokój, spokój maszyny, działającej z nieubłaganą miarowością)

KARANDOWA

(zerwała się z miejsca i szybko podeszła do Leninowskiego biurka)

Ja z wielką prośbą!

(powiedziała to takim tonem, jakim się prosi dobrych znajomych o wyświadczenie towarzyskiej uprzejmości. Lenin jeszcze był daleko, prawie przy drzwiach. Nic nie odpowiedział; nie przyśpieszył kroku: nawet nie skinął głową na przywitanie. Karandowa zamilkła)

LENIN

(stanął przy biurku; popatrzył na Karandową nie podając jej ręki; potem spojrzał na biurko; wziął arkusz papieru i spojrzał na Gotorpowa)

Dawno przynieśli?

GOTORPOW

Przed godziną.

LENIN

(nie siadając, czyta; wszyscy milczą)

GOTORPOW

(po chwili)

Na dole czeka delegacja strajkowa.

(pauza)

LENIN

(odłożył papier, popatrzył na Karandową)

Towarzyszce Karandowej niezwykle świecą się dzisiaj oczy. Zdenerwowanie?

KARANDOWA

(nie wie, co odpowiedzieć)

Długo czekam.

LENIN

Na mnie?

KARANDOWA

Aresztowano mego męża.

(ćwierć pauzy)

Towarzysz Dzierżyński nie chce mnie przyjąć. A ja bym zaraz wyjaśniła; bo to jest omyłka, nieporozumienie! Przyszłam tutaj prosić o wyjednanie mi bodaj najkrótszego widzenia z Dzierżyńskim. I niezwłocznego! Krótki list, kilka słów do Dzierżyńskiego; albo może przez telefon?... Myślę, że to byłoby najprościej. Zajmę mu najwyżej dziesięć minut. Mniej, niż dziesięć minut! Sprawa jest tak jasna! Właściwie to nawet nie można tego nazwać sprawą; to jest... to jest: oczywistość! Przecież mój mąż brał bardzo czynny udział w rewolucji bolszewickiej. On pierwszy wtargnął do obsadzonego przez junkrów Metropolu. Potem na froncie był ciężko raniony w nogę. Jego przecież znają, jego przekonania, i jego działalność! I nagle to aresztowanie! Absurd! Nieporozumienie! Bo jeżeli jego aresztują, to... kogoż nie aresztować? To jest rewolucjonista bez zastrzeżeń, sans phrases!

LENIN

Aresztowany w związku z jakimś zajściem?

KARANDOWA

Dziś rano. Dwudziestu czterech zecerów.

LENIN

Strajk?

KARANDOWA

(mniej pewnie)

Podobno. Ale to musiało być inaczej. On jest komunista.

LENIN

Należał do strajku?

KARANDOWA

Tego dobrze nie wiem. Miał nocną pracę, a rano wybuchnął strajk i Wania został aresztowany razem z innymi. W drukarni. Nie wrócił do domu.

(pauza)

LENIN

(bierze słuchawkę telefoniczną, przyczem drugą ręką naciska odpowiednie guziki na tabliczce)

Ja — W związku ze strajkiem zecerskim prosi o rozmowę towarzyszka Karandowa. — Wiem. Ale tym razem nie odmawiajcie. — Jako prowodyr? — Dwudziestu czterech, tak. — Wszyscy? Już??

KARANDOWA

(poruszyła się niespokojnie)

LENIN

W każdym razie towarzyszkę Karandową przyjmijcie. Zaraz tam będzie. — Naturalnie. — Trudno.

(kładzie słuchawkę)

Towarzysz Dzierżyński czeka.

KARANDOWA

Co mówił?

LENIN

(cokolwiek się zmarszczył)

Są tam jakieś przewinienia.

KARANDOWA

(gorąco zaprzecza)

Niemożliwe!

LENIN

(nie odpowiada)

KARANDOWA

A potem? Co znaczyło „wszyscy", że ... „wszyscy"? że „dwudziestu czterech" i że wszyscy oni?...

(d.n.)

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

BRYTYJSKI SŁOWNIK BIOGRAFICZNY

Ukazał się nowy uzupełniający tom brytyjskiego słownika biograficznego: „The Dictionary of National Biography“, obejmujący okres lat 1931-1940, a opracowany przez L. G. Wickhama Legga. Wydawcą, podobnie jak tomów poprzednich, jest Oxford University Press, cena tomu 50 s.

Wydawnictwo tego słownika zapoczątkował w r. 1884 George Smith, Szkot o niezmordowanej pracowitości, który włożył w to nierentujące się wówczas przedsięwzięcie wielką część swych kapitałów. Zmarł on w r. 1901, a w r. 1917 rodzina jego przekazała prawa autorskie i cały pozostały nakład słownika firmie Oxford University Press.

Pierwszymi redaktorami słownika byli Leslie Stephen i Sidney Lee. W wyniku dokonanego przez nich wyboru słownik objął 36 nazwisk z pierwszych pięciu stuleci historii brytyjskiej, 659 nazwisk z wieku XV, 2.138 z wieku XVI, a już 12.608 z wieku XIX. Największa liczba nazwisk zaczyna się od litery B, po której następuje litera C.

Mniej więcej co dziesięć lat ukazują się uzupełniające tomy słownika, obejmujące zmarłych wybitnych przedstawicieli brytyjskiego życia politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego.

Pojawienie się nowego tomu słownika budzi smutne refleksje na temat braku podobnego wydawnictwa polskiego. W zakresie słownika biograficznego wyprzedziły nas nie tylko wielkie narody europejskie i Stany Zjednoczone Ameryki, ale nawet większość małych narodów (jak Szwedzi, Duńczycy, Węgrzy), w tym wiele republik Ameryki Łacińskiej. Dopiero w początku r. 1935 Akademia Umiejętności w Krakowie podjęła wydawnictwo Polskiego Słownika Biograficznego, obliczonego na 20 tomów, po 5 zeszytów każdy. Co rok ukazywać się miał jeden pełny tom; istotnie do chwili wybuchu wojny pojawiły się 24 zeszyty. Po wojnie w r. 1946 wydawnictwo słownika podjęte zostało znowu, przy czym korzystano w znacznej mierze z nagromadzonych już materiałów, które szczęśliwie ocalały z pożogi wojennej. Od zeszłego jednak roku zeszyty słownika poczęły się pojawiać coraz rzadziej; w ciągu całego roku bieżącego ukazał się tylko jeden. W rezultacie ilość wydanych po wojnie w ciągu z górą trzech lat zeszytów wynosi zaledwie dziesięć; ostatni zeszyt nosi numer 34. Przyczyn tego zwolnienia tempa szukać należy w tendencjach reżimowych do „zsowietyzowania“ słownika i jego redakcji. Obawiać się trzeba, że dalsze zeszyty słownika, jeśli wogóle będą się ukazywały, zostaną zupełnie dostosowane do panującego kursu i że ich poziom naukowy ulegnie gwałtownemu obniżeniu.

KSIĄŻKA O MORRISIE

P.t. „William Morris. Prophet of England‘s New Order“ pojawiła się książka Lloyda E. Greya, charakteryzująca tę interesującą postać życia angielskiego w drugiej połowie XIX wieku, reformatora społecznego, poetę i malarza, zbliżonego ideowo do Ruskina i ruchu prerafaelickiego.

Recenzentka katolickiego „Tabletu“ Helen Parry Eden wypowiada pogląd, że William Harris był najbardziej katolicki ze wszystkich reformatorów społecznych ubiegłego stulecia — i dlatego mało kto poza katolikami potrafi go ocenić. Był on — wedle słów Chestertona — wielkim dystrybucjonistą; niezgodna z prawdą jest rozpowszechniona opinia, jakoby był socjalistą, choć niekiedy sam za takiego się uważał.

W związku z książką Greya Bernard Shaw poświęca Morrisowi wspomnienie na łamach „Observera“ z dnia 6 listopada, podkreślając m. inn. ogromną siłę atrakcyjną, jaką Morris wywierał na swoje pokolenie, nie wyłączając najwybitniejszych ludzi.

KU CZCI WORDSWORTHA

W związku z przypadającą w roku przyszłym setną rocznicą zgonu Williama Wordswortha (1770 — 1850, przygotowywane są uroczystości w okręgu jezior (Lake District), w którym ten wybitny poeta angielski spędził dużą część swego życia. W miejscowości Ambleside prawnuk poety, Reverend Christopher Wordsworth wygłosi specjalne kazanie, po którym praprawnuk poety Richard Wordsworth odczyta niektóre jego utwory. Przewidywany jest szereg odczytów oraz wystawa pamiątek i rękopisów Wordswortha.

CHARLES MORGAN HONOROWANY WE FRANCJI

Znany powieściopisarz i krytyk literacki Charles Morgan dostąpił szeregu zaszczytów we Francji, gdzie jest ceniony wyżej od wielu innych pisarzy anglosaskich. Otrzymał on niedawno doktorat honorowy uniwersytetu w Caen i stopień oficera Legii Honorowej. Ostatnio zaś przyjęto go jako członka do Akademii Nauk Moralnych i Politycznych, co daje mu przywilej noszenia szpady, specjalnie dla niego wykonanej. Pisma brytyjskie podkreślają, że zaszczytu tego dostępują cudzoziemcy niezmiernie rzadko; spośród powieściopisarzy angielskich uczczony był w ten sposób tylko Kipling. — Charles Morgan przebywa obecnie we Francji i wkrótce otrzyma jeszcze jeden doktorat honorowy: uniwersytetu w Tuluzie.

KOESTLER O PALESTYNIE

Znany pisarz Arthur Koestler, w którym coraz silniej odzywa się patriotyzm żydowski, wydał książkę pt. „Promise and Fulfilment“ (Macmillan, 12 sh. 6 d.), opisującą rozwój Palestyny w okresie 1917 — 1949. Pisma brytyjskie zarzucają Koestlerowi, że w opisie wydarzeń ostatniego okresu nie wykazuje bezstronności w stosunku do Brytyjczyków. Z drugiej strony pewne czynniki żydowskie w Palestynie także mają pretensje do Koestlera o jego krytyczne uwagi o niektórych przejawach życia żydowskiego w tym kraju.

Książka w każdym razie napisana jest żywo i z rozmachem i daje dużo materiału faktycznego.

WYSTAWY W LONDYNIE

W Ashley Galleries (28, Ashley Place, S. W. 1.) otwarta jest obecnie wystawa współczesnej sztuki religijnej.

W Arcade Gallery (28, Old Bond Street) odbywa się wystawa malarzy fantastycznych i groteskowych (Monsu, Magnasco, Fuseli i inni).

W Chenil Gallery (Kings Road, Chelsea) odbywa się w dniach 29 października — 19 listopada (z wyjątkiem niedziel) wystawa fotografii z Grecji oraz greckich tkanin i robót ręcznych. Otwarta jest od godz. 10 — 7; wstęp wolny.

W Walker's Galleries (118, New Bond Street) wystawione są akwarele Australijczyka M. I. MacNally oraz obrazy i rysunki Estelli Canziani, Catherine Ouless, Evelin F. Coote Lake.

W Roland, Browse and Delbanco Galleries (19, Cork Street, W.1.) wystawione są obrazy Prunelli Clough oraz „fantazje śródziemnomorskie“ artystki, podpisującej się Katherine Wilczyński.

WYSTAWA ARTYSTÓW PARYSKICH

W Marlborough Gallery (17, Old Bond Street, W.1.) odbywa się obecnie wystawa obrazów dziewięciu wybitnych artystów paryskich; są to obrazy poświęcone życiu Paryża. Owych dziewięciu malarzy to Band, Cheval, De Laboulaye, Gall, Genin, Kasiulis, Mard, Serpantié, Smol. Wystawa otwarta jest codziennie od 10 — 5.30, w soboty od 10 — 1.

W Walker‘s Galleries (118, New Bond Street) otwarta jest wystawa obrazów i rysunków, reprezentujących humor francuski ósmego i dziewiątego dziesiątka lat XIX wieku.

WYSTAWA BUDOWLANA W LONDYNIE

W dniach 17 listopada do 1 grudnia rb. otwarta będzie w „Olimpii“ wystawa budowlana. Godziny otwarcia: codziennie od 10 — 8. Wstęp 2 szylingi.

NOTATKI FRANCUSKIE

NA SCENACH PARYSKICH

Nie licząc szansonistów, teatrów rewiowych i niezliczonych „boites de nuits“ (nocnych lokali), o rożnorodnych sceniczno-wokalnych atrakcjach, właściwych scen teatralnych posiada Paryż z górą pięćdziesiąt, od Opery, Opéra-Comique i Theatre Français począwszy, aż do teatrów bulwarowych wszelkich odcieni operetek, scen i scenek eksperymentalnych itd.

Poza klasycznym repertuarem Comédie Française, rozporządzającej dwiema scenami (Salle Richelieu i Odéon), do której z pisarzy żyjących przeniknął ostatnio z powodzeniem Montherlant, poza szeregiem wznowień dawnych, młodszych i współczesnych twórców, z ogromną przewagą wodewilistów i komediopisarzy w rodzaju Labiche‘a, Feydeau Becque‘a, Salacrou oraz niewyczerpanych Flersa i Croisseta, każdy rok przynosi jakieś głośne sukcesy, zyskane bądź to sławą autorów, bądź poruszanym w sztuce problemem o szczególnej aktualności.

Takim dwojakim sukcesem cieszyła się przez blisko dwa lata sztuka Sartre‘a „Les Mains Sales“, której problem stanowią niesamowite zygzaki taktyki komunistycznej, każdorazowo dociąganej „do linii“ ideologii, kosztem wczorajszych „bohaterów“, likwidowanych jako „zdrajcy“.

Wielkie powodzenie w ubiegłym sezonie zyskała też sztuka Jean Anouilhe‘a „Ardèle ou la Marguerite“ z cyklu t.zw. „pièces noires“ tego świetnego autora, tragiczna komedia i gorzka zarazem satyra obyczajowa; po wakacjach sztuka zostala wznowiona w tejże Comédie des Champs Elysées.

W bieżącym roku zostały wyróżnione trzy sztuki Henri de Montherlant: „Fils de Personne“, „Le Maitre de Santiago“ i „La Reine Morte“, z których ostatnia grana jest dotychczas w Comédie Fraçaise (Salle Richelieu), oraz trzy sztuki Claudela. Były dnie, gdzie Claudel zajmował jednocześnie trzy sceny paryskie. Wszystkie te sztuki były pisane i wydane wiele lat temu („Partage de Midi“ w 1906, „Le pain dur“ w 1918, „Le soulier de satin“ w 1929), ale dwie pierwsze wystawione zostały dopiero w tym roku; „Partage de Midi“ nie zeszedł dotychczas z afisza teatru Marigny. Mimo Claudelowskiej napuszoności i retoryki rażącej zwykłego widza, sztuka jest wysoko ceniona przez znawców poezji i wielbicieli starego mistrza.

Do dużych sukcesów sezonu, o wartościach niższego rzędu, zaliczyć trzeba sztukę doskonałego satyryka i obserwatora Marcel Aimé „Lucienne et le Boucher“, komedii o niezbyt wybrednym dowcipie, której treść stanowi romans starzejącej się damy z rumianym rzeźnikiem.

Pierwsza sztuka początkującego autora, Jean Genét‘a „Haute Surveillance“ wyróżniona przez krytykę uznaniem z jednej i surowym osądem z drugiej strony, i dająca rewelacyjny wgląd w świat młodych przestępców (dramat toczy się w więzieniu), o zupełnie odwróconej hierarchii wartości, szybko upadła, jak również sztuka Carzio Malaparte „Kapital“, osnuta na tle biografii Karola Marxa. Ten sam los spotkał sztukę Julien Gracq‘a „Le Roi Pêcheur“ (nowe udramatyzowanie starej legendy Graala), rzecz wartościową, której przyszłość dopiero odda sprawiedliwość.

Tegoroczna 250 rocznica śmierci Racine‘a była przyczyną wystawienia „Ifigenii w Aulidzie“ i „Fedry“ w pięknej inscenizacji Jean-Louis Barrault. Po wakacjach „Britannicus“ grany jest na dwóch scenach jednocześnie w Comédie Fraçaise (Salle Richelieu) i w teatrze des Mathurins.

Sensacją jesiennego sezonu była premiera „Chéri“ w teatrze de la Madeleine, nowa przeróbka sceniczna sławnej powieści Colette, w której znakomita Valentine Tessier występuje w roli Léi a Jean Marais w roli tytułowej.

Znamienne jest wznowienie, po rocznej przerwie, sztuki Kafki „Le Procès“. Przeróbki z powieści, napisanej wiele lat temu, kiedy się nikomu jeszcze nie śniło o głośnych procesach sowieckich, dokonał André Gide na spółkę z Jean Louis Barrault, który występuje też w głównej roli „oskarżonego“. „Procès“ grano w teatrze Marigny w ciągu prawie dwóch lat z rzędu, a przyczyną tego zasłużonego powodzenia sztuki była zarówno świetna inscenizacja i obsada jak i siła proroczej wizji autora, wizji losu bezbronnego i niewinnego człowieka zmielonego w trybach groteskowego procesu. „Józef K“ do końca nie wie, jaka jest jego wina, ale poddaje się procedurze rzekomego przewodu sądowego i końcowemu wyrokowi śmierci zupełnie biernie, jak wyrokom tajemniczego przeznaczenia.

ŚMIERĆ JACQUES COPEAU

Francuski świat teatralny był dotknięty ostatnio żałobą. 20-go października zmarł Jacques Copeau, jeden z najbardziej zasłużonych reformatorów sceny francuskiej, autor, aktor, reżyser i jak mówią Francuzi wielki **animateur**, człowiek idei, zapalający i pobudzający innych do swoich zamierzeń. Jacques Copeau był w 1909 r. jednym z założycieli Nouvelle Revue Française i twórcą teatru du Vieux Colombier, który zyskał sławę w ciągu jednego sezonu (1913—1914). Copeau odnosił się do zawodu teatralnego, jak do czegoś w rodzaju kapłaństwa. Dążeniem jego było zdobycie dla tej sztuki należnego jej poszanowania, walka z kabotyństwem, efekciarstwem, łatwym zyskiem, opartym na schlebianiu niewybrednym gustom publiczności, wypędzenia jednym słowem „kupczących ze świątyni“. W liczbie jego wyznawców, uczni i naśladowców, byli między innymi ludzie teatru tej miary co Louis Jouvet i Charles Dullin.

W ciągu ostatnich 10-ciu lat odsunął się Copeau w zacisze wiejskie, nie podejmując żadnej aktywnej roli w życiu teatralnym.

Tim.

NA PARYSKICH EKRANACH

Wśród fali filmów toczących się w trzystu z górą kinoteatrach paryskich, chciałbym wspomnieć o trzech obrazach religijnych: „Fabiola“, „Jeanne d‘Arc“ i „Le Sorcier du Ciel“, osnutym na tle życia Jean Vianney, świętego curé d‘Ars.

Pierwszy, to film włoski, nakręcony w Rzymie, przeróbka sławnej powieści kardynała Wisemana, z Michèle Morgan w roli tytułowej. Tygodnik katolicki „La Vie“ przypomina słusznie prawdziwe dzieje Fabioli w relacji św. Hieronima, który sławi świętobliwą pokutnicę, jako „chwałę Kościoła, matkę ubogich i pociechę świętych“.

„Jeanne d‘Arc“ wystawiona z całym technicznym zbytkiem Hollywoodu, jako film barwny, jest uznana przez paryskich recenzentów za dzieło niezwiązane, rozpadające się na wiele obrazów, dzięki talentowi Ingrid Bergman często wzruszających i sugestywnych, wpadających jednak nieraz w uproszczenia melodramatu. W każdym razie nie jest bez znaczenia, że pamiętne i dosłownie zachowane odpowiedzi świętej bohaterki z jej procesu, słowa pełne dziecięcej prostoty wiary i nieziemskiego w ustach małej pasterki męstwa, będą rozbrzmiewały w tysiącach kin całego świata przed milionami słuchaczy.

Cichy, a cudownością naznaczony żywot proboszcza z Ars, o którym, póki był na ziemi, nikt prawie, oprócz jego parafian i penitentów nie wiedział, ukaże się również na ekranach tłumnych sal, budząc być może nie jedno sumienie i wyciskając łzy wzruszenia z oczu tych, którzy zechcą uwierzyć, że święty ksiądz jak każdy Boży wybraniec, miał do czynienia z najbardziej rzeczywistymi zasadzkami szatana i że je zwalczał za radą Chrystusa „postem i modlitwą“, dopełniając cudownych uzdrowień dusz i ciał.

Tim.

STARE KLISZE — NOWE CZASY

GDY po spędzeniu w Moskwie 2 lat w charakterze korespondenta New York Herald Tribune p. J. Newman chciał wyjechać, by odwiedzić żonę i rodzinę, spotkał go zawód. Otrzymał tylko wizę wyjazdową a jedynie obietnicę powrotnej. Ale, jak przyszło co do czego, to skorzystano ze świetnej sposobności, by pozbyć się amerykańskiego korespondenta. P. Newman dotąd się dziwi, wszak wszystko co pisał przechodziło przez ręce cenzora. Nie o to wcale przecież chodzi. Markiz de Custine, który przed stu laty napisał książkę LA RUSSIE en 1839, mógłby doskonale amerykańskiemu dziennikarzowi wytłumaczyć, dlaczego to, co się stało, stać się musiało.

Pan Newman robi odkrycie: „zamknięcie biura amerykańskiego pisma w Moskwie jest przypieczętowaniem odgrodzenia Rosji od zewnętrznego świata. Jednym z celów tej polityki jest zmniejszenie ilości cudzoziemców w Związku Sowieckim.“ Markiz de Custine już w 1839 roku wiedział — dlaczego to się robi? „Ten rząd bizantyński a właściwie cała Rosja, pisze on, widziała zawsze w korpusie dyplomatycznym i wogóle w cudzoziemcach, przybywających z Zachodu, pełnych złej woli — szpiegów“. Francuski autor doszedł wtedy już do wniosku, z którym się dzisiaj wszyscy znawcy Rosji zgodzą „że rosyjski system polityczny nie mógł by się ostać w ciągu 20 lat nawet, gdyby można było między Zachodem i Rosją podróżować bez przeszkód i ograniczeń“.

* * *

W PIERWSZEJ dwugodzinnej rozmowie ze Stalinem, w kwietniu 1946 roku, którą ambasador gen. Bedell Smith szczegółowo opisał w numerze „Daily Telegraph“ z dnia 7 listopada, uderza odpowiedź Stalina na postawione mu przez amerykańskiego ambasadora pytanie: „Jak daleko Rosja zamierza się dalej posuwać?“ Na to pytanie, z którego widać, że w panu Bedell Smith strateg górował nad ambasadorem, Stalin odpowiada w sposób, w którym dyplomata odniósł łatwe zwycięstwo nad zbyt prostolinijnym srategiem: „Nie posuniemy się o bardzo wiele dalej“ — oświadczył władca Kremla, patrząc prosto w oczy Amerykaninowi.

Od tego czasu wiemy, co słowa — „o niebardzo wiele dalej“ w umyśle Stalina znaczyć mogły. Rozważmy, co się nie udało, a co było jednak zamierzone. Opanowaniu Zachodniej Europy drogą komunistycznych przewrotów przeszkodził plan Marshalla i zgrywanie się francuskich i włoskich komunistów, biorących udział w parlamentarnych rządach. Do tego trzeba jeszcze dodać sromotnie przegraną bitwę o opanowanie całego Berlina. Przez piętnaście miesięcy toczyła się ona w powietrzu.

Bilans tego co się udało, przedstawił Malenkow w 3 lata później przed kilku dniami w 32-letnią rocznicę październikowej rewolucji. Sami przyjaciele otaczają dziś Związek Sowiecki: na Zachodzie przyjazne ludowe demokracje Polski, Czech, Węgier, Rumunii i Bułgarii, na Wschodzie — Mongolia, południowa Korea a zamiast Chin, „ujarzmionych przez kapitalistycznych maruderów“ Chiny Mao-Tse-Tunga, „tego doświadczonego i wyprobowanego przewódcy“. W Niemczech generał Wasyli Czujkow, obrońca Stalingradu, w charakterze „szefa Komisji Kontroli w sowieckiej okupowanej zonie“ będzie za nos wodził „suwerenną“ demokratyczną ludową Republikę Niemiecką.

* * *

MIANOWANIE Marszałkiem Polski, Ministrem Wojny i Naczeln. Wodzem rosyjskiego marszałka Konstantego Rokossowskiego w kraju, w którym Polacy mieli mieć jak ich zapewniał p. Churchill po Jałcie „a comfortable home“, wydaje się nawet flegmatycznemu rzecznikowi **Foreign Office‘u** „dalszym i najważniejszym krokiem w rozwoju sytuacji, która robi z Polski sługę Sowieckiego Związku.“ Czyżby podpis Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych na umowie Jałtańskiej już Polsce tej roli nie wyznaczał?

Rzecznik Brytyjskiego Ministerstwa przypomina obecnie, że gdy w czasie Warszawskiego Powstania Rządy Brytyjski i Amerykański zwróciły się do władz sowieckich o pozwolenie użycia lotnisk, będących w dyspozycji wojsk sowieckich, dla okazania pomocy walczącym Polakom, dowódcą wojsk rosyjskich na froncie Wisły był marszałek Rokossowski.

Sowiecka kreatura „marszałek“ Rola-Żymierski wystosował list do „Obywatela Rokossowskiego w Warszawie“, mianując go marszałkiem Polski „za wyjątkowe usługi oddane Rzeczypospolitej i Polskiej Armii w czasie wspólnej walki przeciw hitlerowskiej agresji“.

„Bumaga wsio tierpit,“ powiadają Moskale.

KSIĘGA LOTNICZA

OD dawna należało oczekiwać wydawnictwa, które by uprzytomniało Brytyjczykom znaczenie wkładu polskiego lotnictwa do wojny a w szczególności jego udział w ocaleniu Angii w jesieni 1940-go roku. Książka „Destiny Can Wait" zapełnia tę lukę w sposób jak najbardziej zasadniczy. Jej szata zewnętrzna jest imponująca: na czterystu przeszło stronach zgromadzono wszelkie dane, dokumenty, statystyki, wspomnienia. Ilustracje bardzo liczne, częścią wielobarwne, zawierają nie tylko zdjęcia ale także pełne wyrazu reprodukcje rysunków Topolskiego i t. zw. grafiki. Przedmowę napisał marzałek lotnictwa Portal. Wydawnictwa podjęła się znana firma nakładowa Heinemanna.

W treści omówiono naprzód stan lotnictwa polskiego przed wojną, jego udział w kampanii wrześniowej, odysseję przedostawania się na zachód, udział w kampanii francuskiej. Następna, „brytyjska" część ułożona jest działami; opisano działalność lotnictwa myśliwskiego, bombardującego, obrony wybrzeży („Coastal Command"), operacji specjalnych jak pomoc Armii Krajowej i Powstaniu Warszawskiemu, zwiad, obronę balonową. Osobno omówiona jest sprawa jeńców i ich ucieczek oraz współpraca polsko - amerykańska. Nie pominięto jednostek transportowych oraz ćwiczebnych. Książkę zamykają informacje o Stwarzyszeniu Samopomocy Lotniczej, pomniku lotników polskich w Northolt oraz teksty traktatów i umów, dotyczących lotnictwa polskiego w czasie wojny. Zwraca uwagę starannie zebrany na końcu indeks nazwisk i przedmiotów.

Jak stwierdził Churchill w ocenie powietrznej „Battle of Britain", nigdy jeszcze tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak niewielu. Zapomniano już jednak, natychmiast niemal po zwycięstwie, że wśród owych „niewielu" tak wielu było Polaków. Gdyby nie ich udział w bitwie, kto wie, jakie byłyby jej wyniki. „Destiny Can Wait" nie przemawia ogólnikowo. Strona za stroną podaje konkretne fakty rzeczywistego bohaterstwa i zdumiewających nieraz wyników, wstrzymując się od komentarzy. Jednym z tych faktów, pełnych tragicznej wymowy, jest że tylko jedna piąta pilotów myśliwskich polskich w RAF przeżyła wojnę. W swej przedmowie marszałek Portal stwierdza, że Polacy włożyli „największy wysiłek ze wszystkich sprzymierzonych sił lotniczych jakie były pod władzą RAF". Istotnie Polacy stanowili ponad jedną trzecią wszystkich flot sojuszniczych europejskich Wielkiej Brytanii. Na 15 eskadr (squodrons) polskich było 12 francuskich (a Francuzi mieli własne oparcie terytorialne w Afryce), z pozostałych zaś narodów żaden nie wystawił więcej niż cztery.

Ale mijałoby się z celem przypominanie Polakom o wkładzie naszego lotnictwa w drugiej wojnie światowej. „Destiny Can Wait" jest pisana po angielsku i dla anglosaskiego czytelnika. Kogo tylko stać na to, **powinien ją nabyć i ofiarować przyjaciołom Anglikom.** Nie znudzą się, bo książka pełna jest znakomitego materiału anegdotycznego zarówno jak i niewzruszonych faktów. Akcent wyraźnie polityczny jest tam tylko jeden, na samym prawie końcu, ale za to bardzo mocny. Bardzo łagodnym natomiast, ale głębokim akcentem politycznym kończy się przedmowa marsz. Portala: „Wierzę, że dopiero gdy wszyscy odzyskamy tego ducha lojalności i poświęcenia dla wspólnej sprawy, z jakim pracowało lotnictwo polskie i inne lotnictwa sprzymierzone, pokój, o jaki walczyliśmy, będzie osiągnięty".

W. W

ALMA MATER VILNENSIS

Może nie wszyscy wiemy, że istnieje w Londynie stowarzyszenie p.n. „Społeczność Akademicka Uniwersytetu Stefana Batorego". Dawni wychowankowie Uniwersytetu Wileńskiego postanowili nie tylko czcić co roku pamięć swojej Uczelni, ale — naprzekór losom — kontynuować jej istnienie.

Uniwersytet w Wilnie, erygowany w 1578 r. przez Stefana Batorego, Króla Polski i Wielkiego Księcia Litwy, zorganizowany przez znakomitego kaznodzieję i pisarza polskiego, Piotra Skargę, był od początku swego istnienia wielką placówką kultury zachodniej, promieniującą na Wschód. W okresie wspaniałego rozkwitu, jakim była dla Uniwersytetu Wileńskiego pierwsza połowa XVII wieku, liczył on 700 uczniów i mógł się poszczycić takimi profesorami, jak Maciej Kazimierz Sarbiewski, największy nowożytny poeta łaciński, słynny w całym świecie pod nazwą Horacego Sarmackiego i czytywany do dziś dnia w szkołach obok rzymskich klasyków. Nie mniej sławni byli Śmiglecki, Łęczycki, fizyk T. Żebrowski, astronom Poczobut i wielu innych.

Lata 1800-1831 to okres świetności Uniwersytetu. Obaj Śniadeccy, Lelewel, Groddeck, Euzebiusz Słowacki, a wśród uczniów Mickiewicz, Słowacki, Odyniec, Zan i cały zespół Filomatów, Filaretów, Promienistych. Wskrzeszony znów troskliwą myślą Marszałka Piłsudskiego w 1919 r. Uniwersytet istniał do grudnia 1939 r.

Wojska rosyjskie, które okupowały Wilno 19 września 1939, w dniu 28 października przekazały miasto władzom litewskim. W grudniu tegoż roku Senat i Profesorowie ogłaszają protest wobec całego świata przeciwko zagładzie Uniwersytetu; protest ostatniego jej rektora prof. Stefana Ehrenkreutza i dziekanów wszystkich wydziałów.

Dnia 1 października b.r. odbyła się w Londynie inauguracja roku akademickiego USB — w dziesiątą rocznicę przerwania normalnej pracy Uniwersytetu.

W grudniu b.r. staraniem Społeczności Ak. USB wydana zostanie księga pamiątkowa, poświęcona Uniwersytetowi. Quod felix faustum, fortunatumque sit!

WAŻNE DLA INWALIDÓW WOJENNYCH P. S. Z. POWSTANIE INWALIDZKIEJ KOMISJI DOKUMENTACYJNEJ.

Przy Związku Inwalidów Wojennych P.S.Z. (100, Netherwood Road, London W.14.) ukonstytuowała się w dniu 22. 10. 1949 INWALIDZKA KOMISJA DOKUMENTACYJNA w składzie:

Przew. Ppłk. Dr. A. Firley, Inspektor Inwalidów. Zast. Przew. Mjr. Z. Nadratowski, przedstawiciel Ministra Obrony Narodowej. Sekretarz, M. Hakemer, Związek Inwalidów Woj. P.S.Z. Członek, Adw. D. Maciejko, Związek Inwalidów Woj. P.S.Z.

Komisja ta zatwierdzona dekretem Ministra Obrony Narodowej ma zająć się wystawieniem dokumentów inwalidzkich inwalidom wojennym PSZ, przebywającym w W. Brytanii i innych krajach.

Komisja opiera swą działalność na funduszach Związku Inwalidów Wojennych PSZ, oraz na posiadanych przez ten Związek urzędowych dokumentach, otrzymanych między innymi ze zlikwidowanego Inspektoratu Inwalidów.

Wystawienie dokumentów inwalidzkich będzie się odbywać w formie wydawania inwalidom wojennym PSZ Książeczek Inwalidzkich.

Powstanie Komisji jest wynikiem starań Związku Inwalidów Wojennych PSZ, by wszyscy inwalidzi wojenni PSZ otrzymali dokumenty stwierdzające stopień ich inwalidztwa, tudzież jego związek ze służbą wojenną.

Bliższe szczegóły, odnoszące się do rozpoczęcia akcji wystawiania dokumentów zostaną ogłoszone w najbliższym czasie.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

KATOLICY WINNI BRAĆ UDZIAŁ W POLITYCE

„Catholic Herald" drukuje list p. A. K. Chestertona, który pisze m. in.: „Jeśli idzie o Gilberta K. Chesterto na i o to, że niepowodzenie to grozi także p. Ch. Hollisowi w dążeniu do stania się przywódcą w walce przeciwko naporowi, zagrażającemu chrześcijaństwu: skłonny jestem przypisać to nie brakowi politycznej odwagi, ale brakowi politycznej namiętności, grymaśnemu wstrętowi, odczuwanemu wobec niebezpieczeństwa zbyt głębokiego uwikłania się w sprawy, rozgrywające się na arenie politycznej".

ZWYCIĘSTWO OPINII KATOLICKIEJ W ANGLII W SPRAWIE AUTOMATÓW

Kilkotygodniowa kampania w prasie i w parlamencie w sprawie automatów ze środkami, zapobiegającymi ciąży, które zaczęły się pojawiać u wejść do niektórych sklepów w Londynie i na prowincji, zakończyła się pełnym zwycięstwem angielskiego obozu katolickiego. Kampania wszczęta została przez prasę katolicką i przez posłów do parlamentu, katolików. Została jednak następnie poparta również i przez inne wyznania. Ci niekatolicy, którzy przyłączyli się następnie do kampanii, uczynili to głównie z tego powodu, że automaty udostępniały swój „towar" również nieletniej młodzieży.

Stanowisko rządu angielskiego wobec kampanii protestacyjnej było początkowo negatywne. Jeden z ministrów oświadczył w Parlamencie, że rząd nie może się sprzeciwiać automatom, gdyż jest nadzieja, że będą one opłacalnym artykułem eksportowym, a zanim się je zacznie eksportować, trzeba je wypróbować w kraju... Pod naciskiem jednak opinii publicznej, rząd stanowisko swoje zmienił. W tych dniach, brytyjski minister spraw wewnętrznych (Home Secretary) oświadczył w parlamencie, że rząd roześle samorządom projekt postanowienia, zawierającego zakaz stosowania automatów, z tym, iż postanowienie to będzie jeszcze musiało być uchwalone przez ciała samorządowe.

Prasa katolicka angielska podkreśla w związku z tym, że należałoby ponadto wywalczyć zakaz sprzedawania nieletnim środków zapobiegających ciąży również i poza automatami. Środki te młodzież obojga płci, bez względu na wiek, może nabywać „pod ladą" bez żadnych przeszkód w niektórych zakładach fryzjerskich i w mniej przyzwoitych składach aptecznych. Prasa katolicka angielska spodziewa się, że przedsięwzięta w tej sprawie kampania powinna również osiągnąć spodziewany wynik.

Tak wygląda sprawa w kraju, w którym katolicy są jedynie drobną mniejszością. Z pewną goryczą możemy sobie przypomnieć, że w Polsce, kraju przeważnie katolickim, te same środki zapobiegawcze sprzedawane były i reklamowane bez żadnych przeszkód, a nawet z pewną natarczywością. Oraz, że automat z takimi środkami ustawiony był kiedyś, wbrew protestom samej młodzieży, w gmachu domu akademickiego w Warszawie, nie przez kogo innego, jak przez komisarza rządowego.

PRZEŚLADOWANIA CZESKIE

Głównym, bolesnym faktem w dziejach Kościoła w ostatnich tygodniach jest bezsprzecznie to, co się dzieje dziś w Czechach i na Słowacji, gdzie rząd komunistyczny postanowił złamać Kościół katolicki, wtłaczając jego duchowieństwo i wiernych w zaprojektowany przez ateistycznych władców świeckich system czegoś w rodzaju kościoła narodowego; oraz gdzie opór duchowieństwa, z bohaterskim arcybiskupem Pragi, internowanym przez policję w swym pałacu X. Beranem na czele, oraz szerokich mas katolickiej ludności, stanowi piękny przykład wytrwałości i wierności.

Czytelnicy nasi znają wydarzenia czechosłowackie z prasy codziennej. Pismo nasze, które jest tygodnikiem, nie jest w możności — wobec tempa, w jakim się one rozwijają oraz wobec ich obfitości — referować na tym miejscu w sposób wyczerpujący ich przebiegu. Jesteśmy przekonani, że nie potrzebujemy również czytelników katolickich zachęcać, by wydarzenia te — na podstawie innych źródeł — uważnie śledzili i by pamiętali o walczących i cierpiących katolikach czeskich i słowackich w swych modlitwach.

Pragniemy jednak stwierdzić przynajmniej jedno. Słowacja była zawsze krajem na wskroś katolickim, ale Czechy dotychczas miały raczej dość uzasadnioną reputację kraju, będącego z Kościołem w konflikcie. Od czasów Husa i od bitwy pod Białą Górą tradycyjną postawę Czechów była raczej postawa antykatolicka; katolicyzm uchodził w Czechach za religię, podejrzaną o sympatie habsburskie, a patriotyzm czeski, im był goretszy, tym był dalszy od Kościoła. Otóż ten stan rzeczy, po raz pierwszy od pół tysiąclecia, teraz nagle się kompletnie zmienia. Naród czeski skupia się w walce o swą wolność duchową, a w konsekwencji też i polityczną, pod sztandarami Katolickiego Kościoła i pod przewodem katolickiego arcybiskupa.

Obecny okres prześladowań, jakie Kościół dziś w Czechach przeżywa, pod jednym względem może być błogosławiony w skutkach: niesie on ze sobą zapowiedź pogodzenia narodu czeskiego z Kościołem.

„OSSERVATORE ROMANO" GANI BOKS

Organ Stolicy Apostolskiej, „Osservatore Romano", dwukrotnie w ciągu tygodnia zabierał głos w wysoce krytycznym tonie w sprawie boksu, który nazwał „najbrutalniejszym z zawodów sportowych".

Powodem artykułów była świeża śmierć na ringu dwuch bokserów w Ameryce, Murzyna w Detroit i Włocha w Bufallo.

USUNIĘTO IMIĘ BOGA Z PRZYSIĘGI

Reżym komunistyczny w Polsce przeprowadził ustawę, usuwającą Imię Boże z przysięgi sądowej. Nowa formuła przysięgi brzmi: „Świadomy wagi mych słów i odpowiedzialności przed prawem, przyrzekam uroczyście, że będę mówił szczerą prawdę, niczego nie ukrywając z tego, co mi jest wiadome". Dawna formuła przysięgi obejmowała „opowiedzialność przed Bogiem" i kończyła się słowami: „Tak mi dopomóż Bóg".

PAPIESTWO JEDYNYM OBROŃCĄ LUDZKOŚCI

Przemawiając na 3-cim zebraniu ogólnym UNESCO, odbywającym się w Paryżu, Ks. Maroun, kierownik delegacji libańskiej oświadczył: „Od 20 lat jedynym głosem, który broni człowieka, jest głos Stolicy Apostolskiej".

1.500 KSIĘŻY W WIĘZIENIACH

W Watykanie obliczono, że od zakończenia wojny Kościół stracił ponad 1.500 księży w krajach za „Żelazną Kurtyną". — Zostali oni aresztowani albo zginęli i niewiadomo, co się z nimi dzieje.

CZECHOSŁOWACJA ZMIENIA KALENDARZ LITURGICZNY

Nowowydana ustawa przeniosła „w gospodarczym interesie państwa" 10 świąt kościelnych na najbliższe niedziele. Prawu temu podlega również W. Piątek.

MIĘDZYNARODOWE BIURO POSZUKIWAŃ IRO AROLSEN/KASSEL, poszukuje:

DĄBEK Józefa, ur. w kwietniu 1921 w Zbarażu woj. Tarnopolskie, zaignęła bez wieści w kwietniu 1945 r. w m. Tauscha, Sachsen, Niemcy;

DRIESEN Jerzy, ur. 14. 11. 1926 w Mysłowicach, był w niem. armii, ostatnia wiadomość z sierpnia 1947 r. z Ottbergen;

DUFAJ Krystyna, ur. 16. 4. 1930 w Polsce, ostatni znany adres; Polish Holding Unit, Papenburg/Ems, Baor.;

DUKATZ Fridal, ur. 12. 2. 1935 w m. Załogne, pow. Lędzbork, Polska, prawdopodobnie wywieziony do Niemiec;

DUNAJEWSKA Maria z domu KOczorowska, ur. 8. 9. 1914, zaginęła bez wieści pod zas Powstania Warszawskiego;

DURIK Werner, ur. 30. 7. 1930 w Olsztynie, zaginął w roku 1945 bez wieści, prawdopodobnie wywieziony do Niemiec;

DWORZYCKA Wiesława, ur.1939 w woj. Lwowskim, ostatnia wiadomość z roku 1945; ojciec Wacławy został zabrany przez Niemców a matka zginęła;

DZIABUDA Ludwik, ur. 21. 2. 1922 w Oskzesińcach, woj. Tarnopolskie, wywieziony w r. 1942 do Niemiec;

DZIUK Andrzej, ur. 30. 11. 1928 w Droniowicach, pow. Lubliniec, ostatnie znane miejsce zamieszkania: Droniowice, p-ta Sadów, pow. Lubliniec;

FEDYSIUK albo FEDYSIÓW Mikołaj, ur. 1933 w Wielkiej Letni, pow. Drohobycz, wywieziony prawdopodobnie do Niemiec;

FESSER Rudolf, ur. 24.1.1915 w Katowicach, był w Armii gen. Andersa, ostatnia wiadomość z maja 1946 r. z m. Ancona, Włochy;

FRANASZEK Henryk, ur. 18.1.1925. był w obozie kncentrocyjnym Flossenburg;

FRANC Jan Stefan, ur. 2.5.1920 w Pabianicach k. Łodzi, ostatnia wiadomość z Machendorf, Sudety;

FRANCZAK Józef, ur. 19.3.1911; był w Stalagu XIB w Falingbostel.

FRANKIEWICZ Jan, ur. 28 3 1900 albo 20 3 1900 w Tarnobrzegu, mieszkał w Krakowie, dostał się do niem. niewoli; ostatni znany adres: Nuernberg, Markplatz; ostatnia wiadomość z grudnia

FRIGES Karol, lat 54, ur. w m. Grojec, Polska; ostatnia wiadomość 1945 z Grossrueckerswalde, pow. Marienberg, Sachsen, Niemcy;

FRISZ Stanisław, ur. 2.12.1912; dostał się do niemieckiej niewoli i pracował w m. Plettenberg; ostatnia wiadomość z Hagen-Kabel;

FRONTCZAK Bolesława, lat 31; wywieziona z Włocławka do Altefaehr koło Stralsund, Niemcy;

FRYDRYCHIEWICZ Julian, lat 44, ostatnia wiadomość z Hamburg;

FRYSZKIEWICZ Antoni, urodzony 17.9.1921 w Lwowie; mieszkał w m. Kujbishew, Ural, Rosja; ostatnia wiadomość w lutym 1944;

FRYZ Roman, ur. 15.1.1920 w Trembowli; był w roku 1939 w polskiej Armii i dostał się do niemieckiej niewoli; ostatnia wiadomość z Stalagu II-D w Stargard (Starogród); obecnie przebywa prawdopodobnie w jednym z obozów DP w Niemczech;

FUGIEL Mieczysław, ur. 1923 w m. Rudłowice, Polska; ostatnia wiadomość z polskiego obozu w Ahlen, Westfalen;

Z LISTÓW DO REDAKCJI

W ciągu ostatnich kilku miesięcy, poczynając od artykułu Ojca I. M. Bocheńskiego p.t. „Lenin, czyli o znaczeniu tomizmu“, Redakcja ŻYCIA zamieściła kilka artykułów analizujących komunizm, jako zjawisko rzucające potężny i groźny cień na życie naszego pokolenia. Wszczęta została ta dyskusja celowo, aby w stosunku do prądu, który już dotąd sprowadził nieszczęście na kilkanaście krajów a jutro próbować będzie sięgnąć po władzę nad światem — nie stawać ze ślepymi bezradnymi uproszczeniami, ale z pełną świadomością skali kataklizmu. Aby przeciwstawić się wzorom sprzed września na temat tanków z dykty i armat z erzatz‘ów. Aby widzieć potwornego przeciwnika w jego słabości, ale i w jego siłach, w jego krwawym terrorze (którego iluż z nas doświadczyło na sobie), ale i w jego intelektualnych założeniach, w potwornościach ale i w jego pozytywnych nurtach społecznych, które podstępnie — i niemal bez żadnego przeciwdziałania z naszej strony — zaprzągł w swoje niszczące kłamstwo.

Jak zwykle w takich wypadkach, odstąpienie przez ŻYCIE w analizie tego tematu od banalnych wzorków wzbudziło zaniepokojenie u polityków, hołdujących konwencjonalnemu myśleniu. Zaniepokoił się o prawomyślność ŻYCIA dr. Z. Stahl i przesłał do redakcji ostry na ten temat artykuł. Artykuł ten, zgodnie z naszymi pojęciami o wolności słowa, zamieszczamy poniżej w całości. Odpowiedź nań oraz na różne inne „zaniepokojenia“. w jakiejkolwiek formie się pojawiły lub jeszcze pojawią, zamieszczona zostanie w numerze przyszłym ŻYCIA.

Niezależnie od tych symptomatycznych dystrakcji, plan redakcyjny rozwijać się będzie dalej według pierwotnego zamierzenia. ŻYCIE stoi na stanowisku, że — skoro podjęło się ukazywania na emigracji — to nie po to, aby tylko marnować swe istnienie odklepywaniem płytkich banałów, ale aby pełnić wobec Czytelnika istotną służbę publicystyczną. Że winne mu jest na chwile, które nadchodzą, istotne myślowe uzbrojenie, a nie tylko tanie pokrzepianie gromkimi „precz“ i wiarą, że jedna amerykańska bomba atomowa zniesie wszelki ślad po zjawisku, które zawładnęło dużą częścią świata.

Rezultaty dyskusji zostaną zanalizowane i dokładnie wyważone; argumenty przerysowane i niewłaściwe zostaną właściwie skwalifikowane, argumenty słuszne i wartościowe zostaną włączone w artykuły syntetyczne, które pojawią się w ŻYCIU na przełomie roku bieżącego i przyszłego.

Redakcja ŻYCIA.



Round-table conference w dniu 18 sierpnia 1949 w ramach Summer School Uniwersytetu Fryburskiego. Od lewej ku prawej: O. Dubois O.P, członek delegacji papieskiej przy UNO (czarne ubranie). O. Delos O.P. prof. Un. Katol. w Lille, prof. Oskar Halecki, czołowy polski historyk, prof. Uniw. Kat. w Fordham Un. (Nowy Jork), Dr. Eppstein, katolicki polityk i publicysta angielski, O. I. M. Bocheński O.P. (przewodniczący), prof. Pattee (Kat. Uniw. Waszyngtoński, socjolog), Dr. Sassen (b. minister holenderski, wiceprezes holenderskiej partii katolickiej), O. Thomas O.P. (filozof angielski, stoi), Dr. Sugranyes, sekretarz generalny MIIC (Pax Romana). Tematem dyskusji było „Zadanie katolików w kryzysie współczesnym“. Największe wrażenie wywołało oświadczenie Dr. Eppsteina, który powiedział, że kryzys współczesny nie polega na niczem innym, niż na ujarzmieniu przez pogan połowy katolików europejskich. Ludzie — mówił Dr. Eppstein — którzy w obliczu tego faktu szukają „kryzysów“ innego rodzaju, nie rozumieją czym jest jedność Ciała mistycznego Chrystusa Pana i jaką katastrofą dla Kościoła jest męczeństwo naszych braci nad Wisłą i Dunajem. — Ponad dwieście amerykańskich studentów słuchało z zapartym tchem dwugodzinnej dyskusji, biorąc w niej czynny udział.

Sowiecka rzeczywistość i spekulacje na jej temat

Szanowny Panie Redaktorze!

ŻYCIE z dnia 30.X. Nr. 44/123 na str. 7 zamieściło moją polemikę z artykułem red. J. Tokarskiego oraz Jego replikę. Skoro trwa on jednak przy swoim stanowisku, gdy nie dał się przekonać, muszę jeszcze raz poprosić redakcję o gościnę na łamach ŻYCIA, wypowiadając się tym razem trochę obszerniej i dobitniej.

Red. Tokarski pisze, jakby z przekąsem, że pilnuję czystości „linii generalnej“, mając zapewne na myśli jasny pogląd na bolszewizm i stanowczą wobec niego postawę. Otóż sądzę, że tę postawę, wynikającą po prostu z zamiłowania do prawdy, mają wszyscy ludzie, którzy przeszli Rosję i rzeczywistość sowiecką poznali. Nie znoszą przeto fałszów, szerzonych na ten temat i uważają za swój obowiązek i dobre prawo fałsze te prostować. To przywiązanie do prawdy szczególnie drażni pisarzy, którzy chcieliby mieć pełną swobodę przedstawiania komunizmu nie takim jakim on jest naprawdę, ale jakim z najrozmaitszych przyczyn chcieliby go swoim czytelnikom zaprezentować. Ale ponieważ sztuka ta nie da się pokazać na drodze prostej przeto robi się ją przy pomocy zawiłych rozumowań, mącących możliwie najdokładniej przejrzystą taflę prawdy i mających robić wrażenie czegoś niezmiernie mądrego i głębokiego.

Red. Tokarski robi na łamach ŻYCIA od miesięcy systematyczne wysiłki, by podzielić włos na części i przekonać czytelników, że komunizm, choć wyklęty przez Stolicę Apostolską, jest przecież sektą chrześcijańską, a bolszewiccy emisariusze nieśli słowo boże do stóp Himalajów, jak to wyczytał w pewnej pięknej... powieści. Czyż nie za wiele tych zachwytów? Czyż komunistyczny Kopciuszek naprawdę potrzebuje tego chrześcijańskiego wsparcia? Czy wreszcie to nie zaciera prawdziwego obrazu tej rzeczywistości, jaką stanowi komunizm?

Nie ma dziedziny, do której można tak trafnie, jak do Lenina i komunizmu, zaadaptować znane powiedzenie Goethego:

„Wer den Dichter will verstehen
Muss in Dichters Lande gehen“.

Nikt nie pojmie Rosji Sowieckiej ani komunizmu, kto tam nie był i nikt też nie zrozumie Lenina bez poznania, tam dojrzałych, owoców jego myśli. Z całą bezwględnością kontrolowana, literatura sowiecka nie może stanowić wartościowej podstawy rozeznania. I jest charakterystyczne, że publicyści pewnego typu, głosząc swoje poglądy na komunizm, unikają jak ognia tego właśnie, co powinno być zasadniczym i najbardziej miarodajnym, w tych szczególnie warunkach, źródłem informacyjnym dla każdego sumiennego pisarza. Mam na myśli materiały źródłowe, a do nich w tym wypadku zaliczyć można jedynie świadectwa żywych ludzi, którzy po opuszczeniu „raju sowieckiego“ czyli zapoznawszy się z jego prawdą, uzyskali następnie możność swobodnego jej ujawnienia. Takich ludzi tysiące i rozmaitych narodowości w ciągu ostatniej wojny zdołało się wydostać z granic ZSSR, a relacje ich, tworząc już bogatą literaturę, są tak szeroko rozpowszechnione w świecie zachodnim, że jedynie sowiecka propaganda stara się tego nie zauważać, albo osłabiać ich wartość autentyczną.

Jest to zaś szczególnie dziwne, gdy pomija takie źródła publicysta polski i katolicki, skoro materiały polskie należą w tym zakresie do najliczniejszych i najłatwiej dostępnych. Zostały one po opuszczeniu Rosji Sowieckiej przez stutysięczną masę polską w r. 1942, zebrane, następnie w miarę możności systematycznie opracowane i wydane, albo też są dostępne w archiwach. Można te książki uważać za lepsze lub gorsze, ale zawierają one materiały źródłowe i świadectwa żywych ludzi, których nie wolno przemilczać ani pomijać. Nie pozwalają na to najprostsze zasady pisarskiej sumienności.

Nową książkę tego typu „Kołyma“ A. Krakowieckiego wydaje właśnie „Veritas“. Materiały, dotyczące religii w ramach systemu sowieckiego, zostały z inicjatywy ks. Dziekana Wł. Cieńskiego oraz na polecenie J. E. ks. biskupa polowego J. Gawliny, opracowane w r. 1944 dla Ojca Św. i następnie złożone w Sekretariacie Stanu w sierpniu tegoż roku w imieniu ks. biskupa Gawliny. Memoriał ten pod auspicjami tegoż Biskupa Gawliny ukazał się potem w języku włoskim, następnie polskim i w innych językach, jako książka (W. Kania „Bolszewizm i Religia“).

Niektórzy publicyści ŻYCIA jednak, w swoich wywodach o komunizmie wolą nie wiedzieć, że tego rodzaju materiały źródłowe, polskie czy zagraniczne istnieją. Ostatnio posunęli się oni nawet tak daleko ku metodom dowolnych spekulacji, że przypomina to występy głośnego „czerwonego dziekana“ z Canterbury, prof. Bernala lub innych filosowieckich uczonych zachodnich, dyskutujących poważnie np. nad zagadnieniem „łagrów“ i dochodzących do uczonych wniosków, że — jeśli one wogóle istnieją — to jakoże nazywają się oficjalnie „wychowawczymi“ i posiadają jakieś propagandowe regulaminy, które owym znakomitym uczonym i duchownym wsadzono do kieszeni, przeto są to zapewne dobroczynne instytucje, będące chwałą humanitarnej ludzkości i winne być co najrychlej przez „zgniły zachód“ od Sowietów przejęte.

Do tej kategorii rozważań, nie mających nic wspólnego z rzeczywistością, trzeba zaliczyć m. inn. list pt. „Kim był Lenin?“, ogłoszony w wydaniu ŻYCIA z 9.X. br., anonimowy, a więc na odpowiedzialność Redakcji. Prawdę mówiąc kim był Lenin wszyscy wiemy, a natomiast byłoby ciekawe dowiedzieć się, kim jest autor tego listu i dlaczego nie chce wziąć publicznej odpowiedzialności za swoje rewelacje. Dowiadujemy się z nich bowiem, — wśród, nie nowych na łamach ŻYCIA, zachwytów nad genialnością i zasługami filozoficznymi Lenina, że twórca bolszewizmu, sam chciał zawrócić z drogi prześladowania religijnego, że swe hasło „religia — to opium dla ludu“ uznał za swój największy błąd... i że, jeśli wierzyć pewnym informacjom — nie zeszedł z tego świata bez spowiedzi nawet“.

Anonimowy „X“ pisze w tymże liście na innym miejscu patetycznie, „że najlepszą usługę oddaje prawdzie, kto mówi prawdę“. Otóż, pozwalając sobie wyrazić obawę, że autor w tym wypadku nie oddał usługi prawdzie, proszę Go jako czytelnik ŻYCIA, aby w imię tej swojej pięknej zasady, odpowiedział: na czym opiera swoje rewelacyjne „prawdy“ o nawróceniu Lenina, których źródła nie podaje, a które są sprzeczne z tym wszystkim, co powszechnie na ten temat wiadomo? Sądzę też, że podając nowości tak frapujące, powinien był odrazu czytelnika uświadomić, skąd się o nich dowiedzał.

Nie stawiam się za wzór pobożności, nie posiadam żadnej głębszej wiedzy teologicznej czy filozoficznej. Jestem jednak katolikiem, jakich miliony są w Polsce i na świecie. I jako taki po doświadczeniu, przeżyciach i spostrzeżeniach w Rosji Sowieckiej, muszę przyznać otwarcie, nie mogę słuchać ani czytać spokojnie tych wszystkich bezceremonialnych fałszów i bredni na temat rzeczywistości sowieckiej, jakie się w prasie zachodniej pojawiają. Za dużo wiem, za dużo widziałem, za dużo — wraz z tysiącami innych — musiałem znieść i przetrwać w niewoli sowieckiej, za wiele bluźnierstw, szyderstw z wiary i jej upokorzeń, zbyt potworną ruinę chrześcijaństwa i wszelkich innych religii na przestrzeni całej Rosji Sowieckiej od Ukrainy, poprzez Moskwę, Syberię, Daleki Wschód i Środkową Azję, oglądałem na własne oczy (pomimo uroczystego tekstu konstytucji stalinowskiej, gwarantującego wolność kultu religijnego), abym mógł czytać bez protestu uczone wywody na temat bolszewizmu jako sekty chrześcijańskiej, albo grubymi nićmi szyte, próby wybielania Lenina.

Na koniec pozwolę sobie jeszcze raz przypomnieć wydawcom ŻYCIA, bo niemożliwe, by tego nie wiedzieli, że propagowanie komunizmu jako sekty chrześcijańskiej, w/g recepty Red. Tokarskiego, nie jest żadnym nowym wynalazkiem o skutkach nie znanych. Odkąd komunizm realny, czyli ateistyczny zawładnął Moskwą i stał się jedną z największych potęg materialnych świata, eksperymenty podobnego rodzaju często zyskiwały sobie wyznawców w rozmaitych krajach i zawsze się powtarzały z tym samym skutkiem, mianowicie pomyślnym dla Moskwy, a szkodliwym dla religii. Zostało to potwierdzone również na polskim gruncie. Pp. Dembiński i Jędrychowski w Wilnie także zaczynali, jako bardzo religijni komuniści „chrześcijańscy i społeczni“, a kończyli jako po prostu komuniści spod znaku Moskwy. Tak samo powojenny komunizm katolicki we Włoszech b. rychło okazał się jedynie pomostem, przeprowadzającym słabsze moralnie i umysłowo, oportunistyczne elementy od chrześcijaństwa do komunizmu sowieckiego i został przez władze kościelne potępiony.

Ujemne te rezultaty nie powinny dziwić. Propagowanie bowiem „chrześcijańskiego komunizmu“ w krajach chrześcijańskich sprowadza się w praktyce do propagandy komunizmu samego, bo chrześcijaństwo nie jest tam nowością. A do niesienia owej „komunistyczno-chrześcijańskiej“ idei pod panowanie sowieckie, jakoś nie kwapią się jej apostołowie.

Bezpieczniej w Londynie zachwalać komunizm, niż w Moskwie chrześcijaństwo.

Zdzisław Stahl

Ż Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: **Veritas Foundation Publication Centre.** Adres Redakcji i Administracji: **Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W 2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3 — 4 po południu.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17** — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. **Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. **Prenumerata** płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie26 sh. Wszelkie wpłaty** przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed“, wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. **CENY OGŁOSZEŃ:** 1 cal przez 1 łam £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Do zbierania ogłoszeń upoważniona jest wyłącznie firma The Carlton Berry Co Ltd., Grand Builgings, Trafalgar Sq., W.C. 2. Tel: ABB 5108.

Printed by: „Veritas Foundation Press“ 12, Praed Mews, London W. 2. Tel. PAD. 9734.